NUMER IRAŃSKO – LIBAŃSKI

SKAUT

ZHP

CZASOPISMO ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO NA WSCHODZIE



... OJCZYZNĘ WOLNĄ RACZ NAM WRÓCIĆ, PANIE!
(*Manzarije, 6 V 1943 — msza św.*)

ROK V NUMER 9 - 10 WRZESIEŃ - PAZDZIERNIK 1946

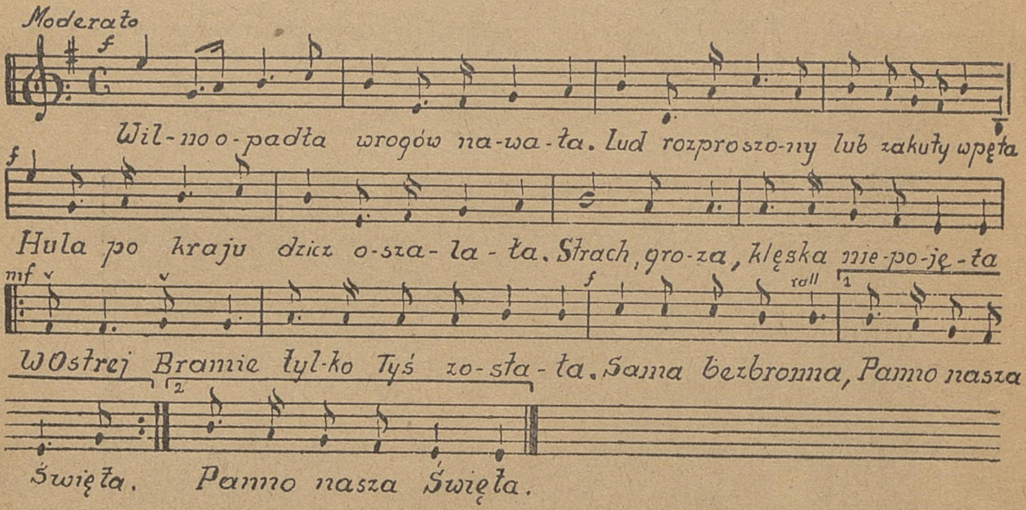
DRUHNA OLGA MAŁKOWSKA — DO HARCEREK NA WSCHODZIE

Wszystkim Siostrom-harcerkom z Palestyny, Afryki, Indii, Libanu, Nowej Zelandii i Italii ślę tą drogą serdeczne podziękowanie za wspaniały i jakże cenny dar, jaki mi z okazji 35 rocznicy powstania harcerstwa przysłały.

Wierzę, że nasze wspólne modlitwy do Tej, co w Ostrej świeci Bramie, nie pójdą na marne, że Ona je w końcu wysłucha i pozwoli bezdomnym w ojczyste powrócić progi. A tymczasem ducha nam krzepić trzeba modlitwą i twórczą pracą i trzeba nam czuwać.

2 VIII 1946 roku OLGA MAŁKOWSKA

OSTROBRAMSKA PANI



Żadne przy Tobie nie stoją straże
Nikt w Twej obronie nie chwyci pałasza.
Puste świątynie, w gruzach ołtarze.
Noc — mroków zorza nie rozprasza.
Tylko czasem kosookie twarze
Patrzą w Ciebie, o Panienko nasza! } *Bis*

Kiedyż, ach kiedy przyjdą te lata,
Gdy swe dziedzictwo znów uchwycisz w ręce.
Kiedy nas skrzykniesz ze wszystkich stron świata —
Lud, który w srogiej ginie męce.
Dzisiaj tylko myśl nam tam ulata,
Tylko się w bólu zaciskają ręce. } *Bis*

Pozwól nam wrócić w rodzinne progi,
Wszak my Twe dzieci, my Twoi poddani.
Perły łez gorzkich, rubin krwi drogi
Tobie, Matko, przyniesiemy w dani.
Jeśli zwolisz w proch powalić wrogi,
Do nóg Ci padniem, Ostrobramska Pani. } *Bis*

Melodie i tekst powyższej pieśni przekazała hm. RP Olga Małkowska w odpowiedzi na przesłany Jej ryngraf pamiątkowy.

W treści nadesłanego w związku z tym listu między innymi tak pisze:

...Byłam do głębi wzruszona podarunkiem, jaki otrzymałam przez Was od harcerek znajdujących się dziś na obczyźnie. Pozwalam sobie przesłać na Wasze ręce podziękowanie.

Przesyłam Wam również piosenkę, którą ułożyłam po otrzymaniu ryngrafu. Jest ona z nim ściśle związana, bo widok ryngrafu, a raczej Matki Boskiej Ostrobramskiej, dla której miałam zawsze wielkie nabożeństwo, natchnął mnie do napisania jej.

M. H.

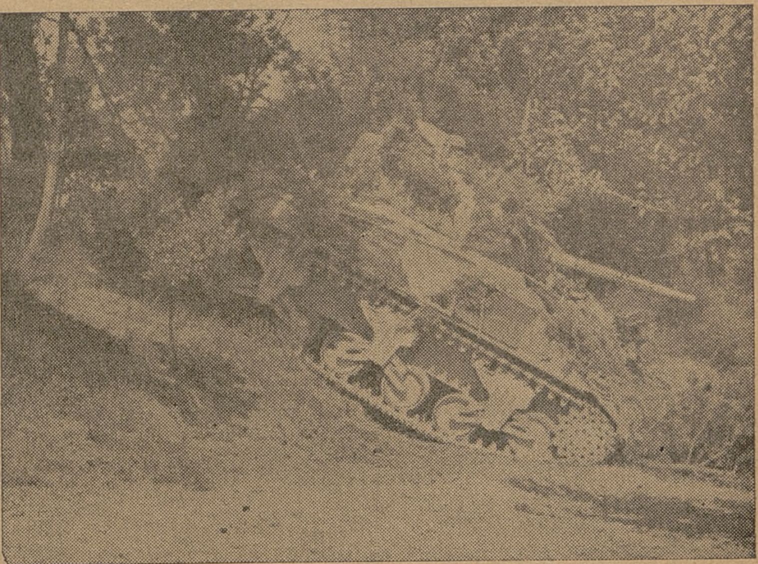
GAWĘDA KOMENDANTA NA WSCHODZIE

Siedem lat temu, dnia 1 września o godzinie czwartej rano, w zdradziecki sposób Niemcy zaatakowały Polskę. Marynarka niemiecka rozpoczęła działania na wybrzeżu polskim, lotnictwo niemieckie zaczęło bombardować miasta i wsie polskie, a oddziały pancerne rozpoczęły marsz na wschód.

Pamiętamy wszyscy, w jak nieludzki sposób lotnicy niemieccy bombardowali ludność cywilną, dzieci, kobiety i robotników rolnych, zajętych przy pracy na roli.

Cała Polska stanęła w ogniu. Cała Polska porwała za broń, aby przeciwstawić się nawale niemieckiej. Zjednoczony Naród Polski bohatersko stawiał opór nowoczesnym armiom niemieckim.

Po siedemnastu dniach zaciekłych walk przyszło nowe uderzenie. Tym razem otrzymaliśmy zdradzieckie pchnięcie w plecy ze strony Rosji bolszewickiej. Już uprzednio dyplomacja niemiecka i sowiecka opracowały plan kampanii przeciwko Polsce oraz ustaliły granice rozbioru Polski. Rosja i Niemcy wprowadziły w życie — po złamaniu oporu polskiego — pakt Ribbentrop-Mołotow.



Niemieckie oddziały pancerne rozpoczęły marsz na wschód

Minęło siedem lat nieprzerwanej walki Narodu Polskiego o wolność. Półtora roku temu Niemcy zostały złamane. W chwili obecnej w Paryżu obraduje konferencja pokojowa, która ma ustalić podstawy przyszłego sprawiedliwego współżycia narodów Europy. Lecz jak na ironię losu wśród przed-

stawicieli państw ustalających przyszły pokój nie widzimy przedstawiciela Narodu Polskiego, który pierwszy przeciwstawił się zakusom totalistycznym. Za to w zespole tych, którzy dyktują dziś warunki, widzimy tego samego Mołotowa, który układał się z Ribbentropem. Tego samego Mołotowa, który zrobił wszystko, aby przyśpieszyć zbrojny konflikt w Europie.

W Norymberdze odbywa się proces przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym. Wśród sędziów i oskarżycileli nie ma przedstawicieli naszego Narodu. Za to w komplecie sędziowskim i w charakterze oskarżycieli występują przedstawiciele Rosji sowieckiej, która paktowała ze zbrodniarzami niemieckimi.

Kiedy zastanawiamy się nad tym, co przeżywa dzisiejszy świat, i kiedy widzimy, że wszedł on na drogę kłamstwa i obłudy, kiedy widzimy, że światem rządzą nie zasady Sprawiedliwości i Dobra — wydawać by się nam mogło, że próżny był wysiłek Narodu Polskiego, że na marne poszła praca ostatnich siedmiu lat. Jednak myśli tej nie dopuszczamy. Żyje bowiem w nas, tak jak przedtem niezłomna wola walki, wielka wiara, że przyjdzie dzień, w którym oddane w niewolę rosyjskiego totalizmu narody Europy odzyskają prawdziwą wolność, że przyjdzie dzień, w którym Prawda i Dobro oraz zasady Chrystusowe zatryumfują nad krzywdą, złem i materializmem dziejowym.

Nie upadamy na duchu, bo wiemy napewno, że droga, po której idziemy, jest słuszna i że na tej drodze dojdziemy do celu.

* * *

Harcerki i harcerze na Wschodzie dobrze wiedzą, jak okrutne zbrodnie zostały popełnione przez Rosję bolszewicką na Narodzie Polskim. Większość z nas — to ci, którzy cudem wyrwali się z so-



Stalin i Ribbentrop — po podpisaniu aktu rozbioru Polski w 1939 roku.



Polska po najeździe hord germańskich

wieckich obozów pracy, więzień i dalekich zsyłek. Zostawiliśmy tam niejedną mogiłę, w której pochowaliśmy kogoś najbliższego. Również w grobie katyńskim został niejeden ojciec, mąż, syn, brat.

Na wiosnę 1942 r. przybyły do Persji pierwsze transporty Polaków z Rosji. Skończył się koszmar życia w sowieckich warunkach, rozpoczął się okres wolnej działalności.

Młodzież samorzutnie organizuje na ziemi irańskiej drużyny harcerek i harcerzy oraz gromady zuchowe. Związek Harcerstwa Polskiego na Wschodzie, składający się dotychczas z kilkuset instruktorów i starszych harcerzy, zgrupowanych w kręgach starszoharcerskich, w szybkim tempie rozrasta się do kilku tysięcy i do dziesiątków drużyn, zorganizowanych z młodzieży przybyłej z Rosji.

Przewodniczący Rady ZHP n. W. Druh Hm. Stanisław Sielecki organizuje wyjazd instruktorów na teren Iranu, w celu szkolenia spośród harcerek i harcerzy kierowników pracy. Sam udaje się do Teheranu, w celu zbadania sytuacji harcerstwa na miejscu.

Historię Harcerstwa Polskiego rozwijającego swą działalność na terenie Iranu znajdziecie w opisie Hm. Edwarda Wiszniewskiego. Na tym miejscu chciałem poruszyć kilka innych momentów związanych z Waszą pracą.

Pamiętacie o tym dobrze, jak nieraz trzeba było pokonać wiele trudności klimatycznych i programowych, czy to w Teheranie, Ispahanie, czy też w Ahwazie, aby pracę kontynuować, aby była ona należycie wykonana. Jakże często Wasze drużynowe i drużynowi musieli dobrze się nabiedzić, zanim coś można było zrealizować. Jak wiele wysiłku pokonywali hufcowi i hufcowe oraz Komenda Chorągwi.

Kiedy w marcu 1943 roku przybyłem na Wasz teren, aby dopomóc Wam w pracy, z podziwem przyglądałem się Waszemu zapałowi i pogodnej harcerskiej postawie, która umożliwiała tę pracę. Pamiętam pierwsze kursy, jakie organizowaliśmy w pierwszym i trzecim obozie, kiedy strumie-

niami lała nam się na głowy woda przez dziurawe dachy baraków czy też namiotów. Nie było to jednak przeszkodą, która by uniemożliwiła naszą pracę. Pamiętam, jak co tygodnia — mimo błota i deszczów, kiedy nie mieliście jeszcze odpowiednich ubrań — raz w tygodniu schodziliście się z dalekich obozów do świetlicy P. C. K. w Teheranie na odprawy, na których wspólnie radziliśmy nad pracą w drużynach. Pamiętam, jak w Ahwazie mimo olbrzymich upałów, kiedy pot spływał strumieniami, przeprowadzaliśmy nasz kurs dla kierowników pracy w tamtejszym hufcu. Pamiętam, jak w warunkach zbliżonych do polskich pracowaliśmy na kursach w Ispahanie, pamiętam nasze wspólne obozy i kursy pod Teheranem, wyprawy w góry i pierwszą naszą wielką imprezę w Manzarije.

Harcerska pogoda i humor pozwalały nam radośnie pokonywać wszystkie trudności. Wierzyliśmy wtedy, tak jak wierzymy dziś, że praca nasza jest pracą dobrą i potrzebną, że w drużynach harcerskich zaprawiamy się do przyszłej służby w Polsce.

Minęło już kilka lat, losy wojny rzuciły Was z Teheranu dalej: do Nowej Zelandii, Indyj i Afryki, a w tym roku reszta drużyn harcerek i harcerzy z Iranu przeniosła się do Libanu.

Wszędzie, gdziekolwiek żeście się znaleźli, prowadzicie nadal Waszą pracę. Kiedy dzisiaj patrzymy na działalność ZHP w Iranie, musimy wyrazić podziękowanie Panu Płkowi dypl. Antoniemu Szymańskiemu oraz Panu Płkowi Tadeuszowi Rudnickiemu, którzy na stanowisku prezesa irańskiego Zarządu Okręgu ZHP udzielili naszej pracy wielkiej pomocy, okazali wiele serca i zainteresowania.

Dziękujemy również Panu Delegatowi Ministra W. R. i O. P. Stanisławowi Rzerzysze i Panom Delegatom Ministra Pracy i Opieki Społecznej: Franciszkowi Haluchowi i Antoniemu Pająkowi.

Praca harcerska na terenie Iranu trwała przez 5 lat. Wiele instruktorek i instruktorów kierujących tą pracą zadzierzgnęło serdeczne więzy przyjaźni. Powstał krąg „Puszczy", a choć jego członkowie rozrzuceni są dziś na dużych przestrzeniach — istnieje między nimi serdeczna więź.

Wielu z Was, którzyście w Iranie stawiali pierwsze kroki w pracy harcerskiej, dziś zajmuje odpowiedzialne, kierownicze stanowiska. Z radością możemy zanotować, że mamy kilka wypadków, kiedy harcerki i harcerze, którzy w Iranie rozpoczynali swe przeszkolenie od kursu zastępowych, dziś prowadzą już hufce.

Jak to wspomniałem wyżej, drużyny harcerskie z Iranu na wiosnę tego roku przyjechały do Libanu. Numer bieżący *Skauta* jest poświęcony pracy harcerek i harcerzy w Iranie i Libanie. Tak jak poprzednie numery terenowe — opracowany on został przez harcerki i harcerzy z Libanu.

Kończąc tę gawędę życzę Libańskiej Chorągwi Harcerskiej dalszej pogodnej pracy, a wszystkim Harcerkom, Harcerzom i Zuchom wiele osobistej pogody i radości oraz wielkiej wiary, że kroczymy po właściwej drodze służąc Sprawie Narodu Polskiego. Życzę wiary w wielką prawdę, że:

„wytrwałym zwycięstwo".

C Z U W A J !

Zygmunt SZADKOWSKI, hm.

P E R S J A

— KRAJ I LUDZIE —

Olbrzymie pasmo górskie, znane już starożytnym pisarzom pod nazwą Zagrosu, rozciąga się od Kaukazu prawie nieprzerwanym łukiem wzdłuż granicy tureckiej do Zatoki Perskiej aż wreszcie rozpływa się na pustynnych równinach u granic Baluczystanu. Łuk ten ma długości około 2100 km. Na północno-zachodnim jego krańcu znajdują się szczyty, dochodzące do 5400 m nad poziomem morza, zgrupowane dokoła słonego jeziora Rezaije.

Okolica tego jeziora jest jedną z najbardziej żyznych w Persji. Rosną tutaj: bawełna, tytoń, ryż i inne zboża, melony i winogrona wszelkiego rodzaju. Szeroko jest rozpowszechniona hodowla jedwabników. Złoża mineralne zawierają złoto, miedź, ołów, żelazo i ropę naftową.

Głównymi miastami tej prowincji są: Tabryz, liczący około 250 tysięcy mieszkańców i będący co do wielkości drugim miastem Persji, oraz Rezaije z 50 tysiącami mieszkańców.

Klimat jest łagodny, dzięki znacznemu wzniesieniu nad poziom morza. Stosunkowo wysoka urodzajność użycza tym okolicom grubszej niż gdzie indziej szaty roślinnej, za wyjątkiem wybrzeża Morza Kaspijskiego, gdzie szata roślinna jest jeszcze bardziej grubsza.



Kobiety z plemienia Kaszgajów — południowa Persja

Ta prowincja na równi z bardziej południową częścią (właściwym Kurdystanem) jest ojczyzną plemion kurdyjskich, do niedawna nie uznających żadnej władzy. One to razem ze swymi współplemiennikami z Iraku i Turcji stanowiły i stanowią dla rządu centralnego w Teheranie źródło ustawicznych niepokojów.

Wsród plemion kurdyjskich nurtują od dawna prady wolnościowe, separatystyczne, odpowiednio podsycane przez sąsiadujące mocarstwa. Podobnie jak wszystkie plemiona górskie, Kurdowie są niezależni i nie uznają narzuconej im władzy. Energiczny Reza Szach środkami bardzo surowymi potrafił na jakiś czas zrobić z nich spokojnych członków społeczeństwa irańskiego. Po jego jednak śmierci niepokoje kurdystańskie wybuchły z nową siłą.

Kurdowie mówią specjalnym narzeczem, blisko spokrewnionym z językiem perskim. Mają nawet swoją historię i literaturę.

Dalej na południe wygląd kraju zaczyna się zmieniać. Zamiast zalesionych stoków górskich Azerbejdżanu pojawiają się nagie i surowe pustkowia górskie. Wszędzie przeważa szary kolor skał. Na tym płaskowyżu znajduje się kilka dużych miast, a więc: Hamadan, ulubione miejsce letniskowe Persów, Kermanszach, centrum przemysłu naftowego, na północy — Erak (Sultanabad) i Borudżerd.

Nawet tutaj — w czasie zimy śniegi i powodzie wiosenne stanowią poważny problem dla urzędów transportowych.

W kierunku zachodnim stoki górskie rozpływają się w równinach Iraku, gdzie po obu stronach granicy persko-irańskiej leżą bogate złoża naftowe. Tu po stronie irackiej ma początek rurociąg naftowy, biegnący do Haify w Palestynie.

Przekroczywszy dolinę rzeki Abi-i-Diz, wpadającej do Karunu, znajdujemy się jakby na dachu Iranu: na olbrzymich ośnieżonych szczytach Gór Żółtych (Zarde Kuh) w Lurystanie (niektóre z nich mają około 4200 m n. p. m.). Są one zamieszkałe przez śmiałe plemiona kurdyjskie, które — zadawalniając się niesłychanie prymitywnymi i skąpymi środkami do życia — wolą zostawać panami sobie samym i być w rzeczywistości niepodległymi.

Próbowano przez tę barierę górską przeprowadzić drogę, ale na razie to się nie udało.

Zewnętrzna budowa tego krajobrazu jest nieprawdopodobnie szorstka i połamana. Geologiczne formacje dają wrażenie czegoś wyrzuconego potężną siłą twórczą. Wietrzenie skał jest tutaj bardzo powolne — i to właśnie użycza krajobrazowi pewnej żywości i urozmaicenia. Skały są charakterystycznego koloru szarego oraz biało lub czerwonożółtego.

Nie ma tu nigdzie przez cały rok trzymającej się roślinności. W czasie bezdeszczowego lata skały są rozpalone i pozbawione wszelkiego życia. Pierwszy jednak deszcz w listopadzie pokrywa je słabą zielenią roślinności, która na wiosnę przechodzi w bujną trawę usianą czerwonymi makami i setkami innych barwnych i pachnących kwiatów.

W kwietniu już schną one całkowicie, a w maju skały są już znów nagie i martwe. W czerwcu nasłonecznienie i brak wody powodują temperaturę powietrza, osiągającą w cieniu 120° F. Mimo to żyją tu ludzie i zwierzęta, choć życie to jest w tej porze jedynie wegetacją.

Żyją tutaj owce górskie, wilki, hieny i szakale, nawet rzadki niedźwiedź i lampart, nie mówiąc o bydle i owcach, hodowanych przez górskie plemiona.

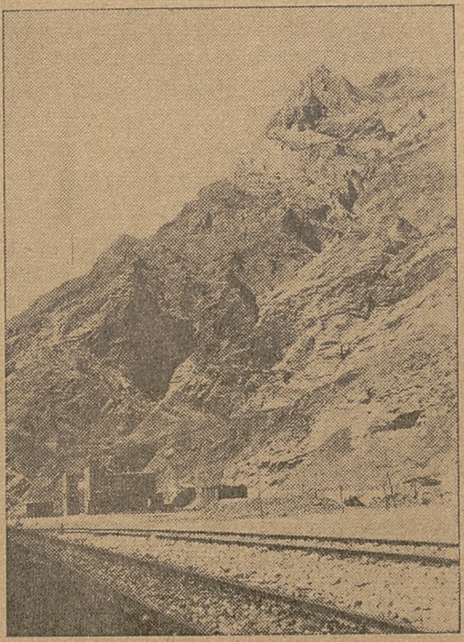
Te plemiona, wsród których najważniejsze są — Lurowie i Bachtiarzy, odznaczają się doskonałym wyglądem fizycznym. Niezależne ich życie oraz twarde warunki bytu wytworzyły w nich pogardę dla wygód miejskich, lekceważenie życia ludzkiego oraz — poczucie humoru. W dawnych czasach byli oni przeważnie nomadami, czyli koczownikami, i stanowili poważne niebezpieczeństwo dla podróżujących po Persji. Wysiłki rządu Rezy Szacha w kierunku osiedlenia ich na stałe na roli dały pewne wyniki i wiele z tych plemion udało się przekonać,

że uprawa roli jest więcej korzystna i pewniejsza od rozboju. Plemiona te mówią dialektami, czyli narzeczami, które są przedmiotem badań ze strony językoznawców. Na ogół dialekty te są jeszcze bardzo mało zbadane.

Dalej na południe jest kilka plemion pochodzenia tureckiego. Są one pozostałościami tureckich podbojów, które w wiekach średnich szły tędy aż do Azji Mniejszej.

Zanim pójdziemy dalej na wschód, rzućmy okiem na trójkąt ograniczony krajem gór, granicą Iraku i Zatoką Perską, w którego środku, mniej więcej, leży Ahwaz. Ta gładka aluwialna równina, która w pobliżu zatoki wznosi się zaledwie na kilka stóp nad poziom morza, jest geologicznie biorąc bardzo młoda. Już w czasach historycznych, czytamy, morze sięgało od siedemdziesięciu pięciu do stu sześćdziesięciu km dalej na północ niż dzisiaj.

Równina ta jest nawadniana przez Karun, jedyną spławną rzekę w Persji. Pełno tu gazeli i wszelkiego rodzaju ptaków, zwłaszcza wodnych. Teren — nadający się znakomicie do polowania. Cała ta przestrzeń włączając w nią Góry Bachtiarskie była niegdyś centrum perskiego imperium. Świadczą o tym ruiny pałaców achamenidzkich (Suza, Pasargada, Persepolis, Istachr) i pozostałości systemów nawadniania epoki sasanidzkiej (np. Szustar). Stałe ich zaniedbywanie w czasach późniejszych zmieniło szybko urodzajny niegdyś kraj w pustynię.



Fragment kolei transirańskiej w Górach Bachtiarskich

Mieszkańcy tych równin są w większości Arabami, ponieważ geograficznie tworzą one część „urodzajnego półksiężyca", utworzonego przez nie, potem Irak i Syrię. Żyją oni w skrajnej nędzy mieszkając we wioskach, ulepionych z gliny i błota, oraz uprawiając maleńkie pólka dokoła swych domków, aby w ten sposób uzyskać nieco jęczmienia i pszenicy.

Odkrycie złóż naftowych w górach z początkiem obecnego stulecia i zbudowanie przez Anglików wielkiej rafinerii nafty w Abadanie w pobliżu Zatoki Perskiej podniosło znowu znaczenie tej prowincji. Wybudowanie kolei transirańskiej, przecinającej cały kraj z północy na południe, przywróciło Ahwazowi jego dawną wartość ośrodka handlowego.

Lecz prowincja ta jest jeszcze ciągle słabo nawodniona i dlatego mało urodzajna. Wybudowane ostatnio przez armie sprzymierzonych drogi poprawiły nieco komunikację, pozostającą jeszcze do obecnej wojny w opłakanym stanie. Topniejące w górach śniegi w porze wiosennej powodują wielkie wylewy Karunu, czyniące znaczne szkody w życiu i mieniu ludzkim. Klimat jest tutaj wysoce nieprzyjemny. Latem temperatura dosięga 120° F. w cieniu (49° C.) Gdy jeszcze do tego żaru dołączą się wilgotne wiatry, wiejące od zatoki, warunki życia stają się niezwykle ciężkie nawet dla ludności arabskiej.

Równina ciągnie się dalej wąskim pasem dokoła Zatoki Perskiej, lecz w głębi kraju góry wznoszą się jeszcze do znacznej wysokości. Na wybrzeżu morskim klimat jest wilgotny i bardzo gorący latem, co powoduje powszechną tutaj malarię. Kraina to niemal tropikalna. Kwitnie w niej handel daktylami, trzciną cukrową, opium i perłami. Zaludnienie jednak jest niewielkie. Wyjątek tylko stanowią urodzajne doliny w głębi gór. Większych miast jest tylko dwa, a mianowicie: zaniedbany port Buszir i bardziej w głąb kraju schowany Szyraz. Tędy przez oba te miasta biegnie droga do serca kraju.

Południowo-wschodnia część Persji jest pustynna i zamieszkała przez plemiona Baluczi, nie ujęte jeszcze w ramy porządku społeczno-państwowego. Wzniesienie nad poziom morza jest nieznaczne, rzadko sięgające do wysokości 1500 m. Dużo jest tutaj błot, chociaż opady atmosferyczne są najniższe w porównaniu z resztą Persji.

Wschodnie stoki Zagrosu są daleko mniej spadziste i stanowią część wielkiego płaskowyżu, który rozciąga się aż do granicy Afganistanu. Wąski pas ziemi, biegnący wzdłuż gór, jest najbardziej urodzajną częścią Persji. Na nim znajdujemy parę historycznych miast, których nazwy nie są obce dla ucha polskiego: Kazan, Ispahan i Kerman, słynące z wyrobu dywanów, oraz Kum i Jezd, znane jako święte miejsca. Ispahan został na zawsze związany z pamięcią polskich wygnańców, którzy tu znaleźli gościnny i bezpieczny przytułek. Miasta te do niedawna reprezentowały dawną Persję. Dziś pojawienie się w nich nowoczesnych fabryk i urządzeń stanowi ciekawe połączenie starej i nowej Persji. Drogi biegnące z Teheranu i Kumo do Ispahanu i Szyrazu oraz do Kaszanu, Jezdu i Kermanu są najważniejszymi drogami w tym kraju.

Głównymi naturalnymi produktami omawianych stron są: bawełna, opium i tytoń. Miedź, ołów i srebro są w mniejszych ilościach. Ispahan, stara stolica Persji, liczy obecnie około 100 tysięcy mieszkańców. Słynne są ispahańskie ogroby, a owoce, które się tutaj rodzą, są rozwożone po całej Persji (melony). Jezd i Kerman, jako leżące dalej na południowym wschodzie, mają okolice mniej urodzajne.

Teheran, od około 150 lat stolica Persji, leży na równinie w miejscu, gdzie łączą się dwa główne pasma górskie: Elburs i Zagros. Pasmo tego pierwszego stanowi potężny wał górski, leżący nad Morzem Kaspijskim.

Południowe stoki tych gór mają wiele podobieństwa ze stokami gór centralnych; są mianowicie skaliste, nagie i pozbawione deszczów. Lecz przekroczywszy jedną z przełączy (na znacznej wysokości: od 2700

do 3000 m n. p. m.) znajdujemy się nagle w całkowicie innej krainie. Opady atmosferyczne są tutaj bardzo obfite i odpowiednio do nich urodzajność ziemi bardzo wysoka. Gdy się w tych stronach podróżuje, ma się nieraz złudzenie polskiego krajobrazu: zielone pola, podszyte gęsto lasy, wioski kryte gontami. Nagle schodzimy z gór i znajdujemy się wsród poletek ryżowych. Na wybrzezu Morza Kaspijskiego jest znowu równina, bardzo nisko nad poziomem morza położona. Znajduje się tutaj szereg miejscowości letniskowych, dokąd mieszkańcy Teheranu licznie śpieszą na czas upalnego lata (Babolsar). Klimat wybrzeża Morza Kaspijskiego jest bardzo łagodny.



Dolina rzeki Dżadżrud w Elbursie

Większość drzewa używanego w Persji pochodzi z wielkich lasów, rosnących na północnych stokach Elbursu. W lasach tych żyją niedźwiedzie, wilki, lamparty, a nawet — rzadkie — tygrysy. Najpospolitszymi drzewami są: dąb, wiąz, wierzba, jesion, buk, bukszpan i cyprys.

Niektóre ze szczytów górskich osiągają znaczną wysokość. Wsród nich w królewskim majestacie wznosi się do wysokości około 5.5000 m n. p. m. Demawend, charakterystyczna góra Persji, otoczna legendami. Jest to najwyższy szczyt górski w Persji i jeden z najwyższych na całej kuli ziemskiej.

Dalej na wschód spotykamy się już z skośnymi oczami ludności pochodzenia mongolskiego, potomków plemion turkmeńskich Azji Środkowej. Nawet domy wiejskie różnią się tutaj wybitnie od reszty kraju; nie są one lepione z gliny i błota, lecz budowane z drewa i kamienia, a dachy są często kryte blachą lub gontami (Uszan i Paszan w górnym biegu Dżadżrudu).

Pasmo Elbursu, biegnące dalej po żyznej równinie Chorasanu, tworzy wielki wał, spoglądający z jednej strony w wielką kotlinę turkmeńską, a łączący się z drugiej z górami Afganistanu i Hindukuszem.

Między dwoma ramionami, utworzonemi przez pasma Zagrosu i Elbursu, leży Daszte Kawir — „wielka pustynia", zawierająca prawie 1/4 część terytorium Persji. Zdaje się, że niegdyś szumiało tutaj morze, łącząc się z jednej strony z Morzem Kaspijskim a Zatoką Perską z drugiej, na co wskazują jeziora i słone bagna, rozsiane po pustyni. Największe z nich nosi nazwę: Deriaje namak, czyli „morze słone". Rozciąga się ono na znacznej przestrzeni na północny-wschód

od Kumu. Pustynia ta wznosi się na wysokość 600 m n. p. m. i ciągnie się aż do granicy Afganistanu. W nielicznych oazach rosną palmy, zresztą cała pustynia jest zupełnie nieurodzajna. Małe rzeki, ginące w błotach, wysychają w lecie. Na północno-wschodnim brzegu pustyni w żyznym pasie leży miasto Meszched. Chociaż jest ono trzecim co do wielkości miastem Persji, jego zupełne odosobnienie od reszty kraju powoduje niesłychany konserwatyzm i fanatyzm religijny mieszkańców.

Dokonaliśmy pobieżnego przeglądu terytorium perskiego, obejmującego dzisiaj ponad milion km kwadr. powierzchni, a więc około trzy razy większego od Polski. Cała Persja — to właściwie jedna olbrzymia pustynia nieurodzajna, z którą prawdopodobnie nawet przy dobrych chęciach niewiele można by zrobić. Jej możliwości kopalniane nie zostały jeszcze dostatecznie zbadane. Są jednak okolice w znacznym stopniu urodzajne, które gdyby zostały należycie wykorzystane, mogłyby wyżywić znacznie lepiej i więcej ludności, niż to ma miejsce dzisiaj. Persja ma jedno olbrzymie złoże, a mianowicie: naftowe i już to samo powoduje, że jej bogactwa mineralne są wielkie.

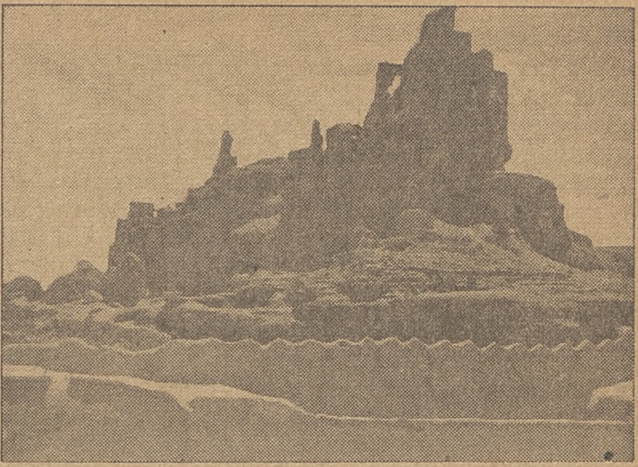
Ludność zamieszkująca ten kraj pochodzi z bardzo starej rasy. Język jej jest pokrewny z resztą języków indo-europejskich, a przez to i z naszym językiem. (Zob. „Studia Irańskie", Teheran, 1945, t. III, artykuł pt. „Język perski"). Typ Persa — to mężczyzna o czarnych włosach, dosyć grubych wargach, dużym nosie, a małej stosunkowo brodzie. Członkowie plemion, przyzwyczajeni do życia na otwartym powietrzu przedstawiają się pod względem fizycznym doskonale; taki typ rzadko widuje się w miastach.

Zwykłem zajęciem Persów jest uprawa roli. Do morskiego życia, podobnie jak Polacy, nie wykazują zamiłowania, pozostawiwszy to Arabom i Ormianiom. Na ogół są to spokojni, obdarzeni zmysłem humoru, o żywej wyobraźni ludzie, zamiłowani w sztuce i poezji. Są bardzo rozmowni i wymowni, a największą ich przyjemnością jest: siedzieć razem w „czajchane", pić powolutku jedną za drugą malenkie szklaneczki mocnej i słodkiej herbaty i rozmawiać swobodnie o tym i owym.

Z tego powodu cudzoziemcy skłonni są mówić o Persach, że są leniwi i bierni. Lecz taki sąd o nich niezupełnie jest uzasadniony. Są oni rasą wyrosłą w twardych warunkach bytu, wśród surowej przyrody. W najdawniejszych pismach perskich czytamy, że starano się, aby każde dziecko umiało jeździć konno, grać w polo, strzelać z łuku, rzucać oszczepem i pływać. Gra w polo jest wynalazkiem perskim, zaniesionym później do Indyj przez podróżników angielskich.

Młody Pers dzisiaj jest również entuzjastą sportu. Chociaż dawne gry zastąpiła piłka nożna, siatkówka i inne — duch pozostał nadal ten sam. Co do zdolności Persów do walki, to można stwierdzić, że ilekroć zostali bardzo poważnie zagrożeni, zrywali się i odrzucali przeciwnika. Taki zryw narodu odbywał się zwykle równocześnie z pojawieniem się genialnego wodza, w czym mamy jeszcze jeden dowód kultu Persa dla bohaterów. Wielkie przywiązanie do wodza, do narodu i religii dawały nieraz przykłady niezwykłego poświęcenia się.

Persowie odznaczają się wielkim zamiłowaniem do wiedzy i wykazują skłonność do łatwego przyjmowania nowych metod i nowych idei. Lecz równocześnie wpływy zewnętrzne nie zdołały wsiąknąć głębiej i przerobić natury Persa. Jest coś w jego naturze, co się nie daje zniszczyć, coś, co mu pozwala wytrzymać i przeżyć, a w końcu wchłonąć swojego zwycięzcę.



Jazdi-chast, miasto-widmo, zniszczone przez trzęsienie ziemi

Ludność Persji liczy obecnie około 15 milionów mieszkańców. Z tego zaledwie półtora miliona żyje w wielkich miastach. Jest jeszcze ciągle około 2 milionów koczowników, chociaż liczba ta stale się zmniejsza. Pozostała ilość żyje w małych miastach i wioskach.

Najgęstsze zaludnienie spotykamy wzdłuż wybrzeży Morza Kaspijskiego (od 80 do 100 mieszkańców na milę kwadratową) i w Azerbejdżanie (40-50 mieszkańców na milę kwadratową), a przeciętnie w kraju około 25 mieszkańców na milę kwadratową.

W większości — są to Persowie, lecz są domieszki arabskie (na południo-zachodzie), z Turkmenami (północny wschód), Kurdami, Ormianami i Turkami (na zachodzie). Ormianie i Kurdowię są właściwie mniejszościami narodowymi, liczącymi 50.000 względnie 450.000 głów. Inne mniejszości — to Assyryjczycy w liczbie około 25 tysięcy (na granicy zachodniej) i Arabowie (w południowo-zachodniej pustyni).

Ormianie mieszkają w Azerbejdżanie i w Ispahanie. Po większej części zajmują się handlem i transakcjami handlowymi, spełniając w Persji rolę, podobną do Żydów w Europie. Dzięki temu są przez Persów nielubiani. Żydów w Persji jest niewielka ilość — i to Żydów prawie zupełnie zasymilowanych z miejscową ludnością.

Dr Franciczek MACHALSKI, hm.

(Artykuł niniejszy jest oparty na książce L. P. Elwell — Suttona „Modern Iran", London, 1942, i na własnych obserwacjach w czasie mych podróży po Persji).

Z „BUSTANU" *)

Jeśli być królem biednemu się zdarzy,
wnet go przyjaźnią nawet obcy darzy.
Lecz gdy się szczęścia koło wspak obróci,
każdy go za drzwi i okno wyrzuci.

Z perskiego przełożył Franciszek Machalski

*) *„Bustan" (ogród wonny) i „Gulistan" (ogród różany) — to dwa najsłynniejsze poematy wielkiego poety perskiego Saadiego (1184- 1291). Obydwa należą do ulubionego na Wschodzie gatunku poezji dydaktycznej i moralizatorskiej. „Gulistan" doczekał się aż dwu przekładów na język polski. „Bustan" nie był dotąd na język nasz tłumaczony.*

POLACY W IRANIE W LATACH 1942—1946

Wiosną 1942 r. zaczęły napływać do perskiego portu Pahlewi, położonego na brzegu Morza Kaspijskiego, tysiące Polaków, wojskowych i cywilnych, zwolnionych z więzień, łagrów i miejsc przymusowego pobytu — wygnania. Widma to były raczej, niż żywi ludzie! Podobizny dzieci, zniszczonych awitaminozą (szkorbut lub gnilec, po rosyjsku: cynga) oraz straszliwą pellagrią (choroba skórna na rękach i nogach, inaczej: rumień), utrwalone na kliszy fotograficznej, będą stanowić na zawsze jeden z najbardziej wstrząsających dokumentów zwyrodnienia i spodlenia ludzkości.

Około 100 tysięcy osób cywilnych i wojskowych, wyrwanych z Domu Niewoli, przepłynęło w przeciągu kilku następnych lat przez Iran. Dywizje polskie, sformowane w Sowietach, po chwilowym wypoczynku przeszły do Iraku, a potem dalej na pola wielkich i zwycięskich bitew. W stolicy Persji zostały tylko osoby cywilne i niedorosła młodzież, która nie mogła jeszcze udźwignąć broni.

Ci wszyscy, przewiezieni do obozów cywilnych w Teheranie i Ispahanie, a następnie w Ahwazie, pod wpływem nowej atmosfery wolności, poczucia bezpieczeństwa, pożywienia i wypoczynku, poczęli szybko odżywać jak kwiaty powiędłe, pokropione wodą ożywczą.

Dla wielu jednak, mimo wszystko, pomoc przyszła zapóźno, i ci zasłali skromnymi a boleśnie licznymi mogiłami cmentarze polskie w wymienionych miastach perskich.



Fragment polskiego cmentarza w Teheranie

Żywotność polska zdziałała prawdziwe cuda. W przeciągu kilku miesięcy odbudowano prawie wszystkie komórki życia społecznego, konieczne do mniej więcej normalnego bytowania. Powstały dobrze zorganizowane tzw. obozy cywilne, opieka duszpasterska, sieć szkół powszechnych, średnich i zawodowych, rozrosło się wspaniale harcerstwo, powstały wreszcie i towarzystwa kulturalno-oświatowe, a nawet — naukowe. Specjalny rozdział należałby się polskiemu szpitalowi w Teheranie, który ratował zdrowie i życie ludzi ocalonych ze srogiego kraju północy.

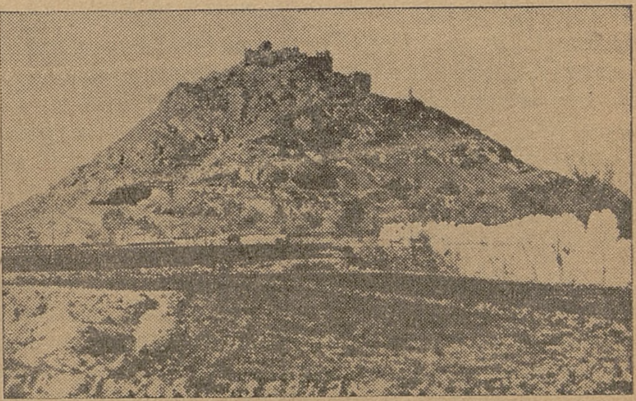
Miejscowa — nieliczna, ale ruchliwa „Polonia" teherańska — otrzymała nowy, a bardzo jej potrzebny zastrzyk polskości. Niejedno jej dziecko mogło i skorzystało obecnie z dobrodziejstwa ojczystej szkoły.

Miastem polskiej szkoły i polskiego dziecka stał się jednak Ispahan. Kilkanaście zakładów, tonących w zieleni drzew i sadów owocowych, napełniało się przez trzy lata radosną wrzawą i śmiechem naszych dzieci, z których niejednemu bestia apokaliptyczna porwała matkę, ojca, a często — i oboje rodziców.

O harcerstwie w Persji napiszą inni, przeto nie zabieram tutaj w tej sprawie głosu.

Ośrodki kierownicze życia wygnańczego w Persji nie ograniczyły się do dostarczania codziennego chleba. Pomyślały również o potrzebach umysłu i serca. Referaty kulturalno-oświatowe dostarczały polskiej książki i gazety, organizowały po obozach odczyty na najrozmaitsze tematy. Chętnie garnęli się do nich mieszkańcy obozów, spragnieni po latach niewoli słowa macierzystego niemniej od łyżki strawy. W Teheranie drukowała się tygodniowa gazeta pt. „Polak w Iranie", informująca o życiu polskim w Persji, w okupowanej Polsce i w całym świecie. Przynosiła wiadomości o kraju, który chętnie nas gościł.

Chlubą uchodźstwa polskiego na ziemi perskiej w latach 1942-1945 pozostanie Towarzystwo Studiów Irańskich, założone przez garstkę polskich uczonych, ocalałych z pogromu. Prezesem tego towarzystwa został zasłużony prof. Stanisław Kościałkowski z Uniwersytetu Stefana Batorego. W przeciągu z górą trzech lat Towarzystwo to wydało 3 tomy „Studiów Irańskich", urządziło kilkadziesiąt odczytów dla szerszej publiczności oraz wydrukowało sporo artykułów w prasie perskiej i polskiej na tematy iranoznawcze, nawiązując węzły kulturalne między dwoma narodami, których zetknęły ze sobą losy wojny. Konkretnym czynem w tej dziedzinie było wydanie książki o Polsce w języku perskim pt. *Lahestan* (Polska). I jeszcze coś. Staraniem Towarzystwa powstała piękna biblioteka iranoznawcza, licząca przeszło 1000 dzieł, obecnie znajdująca się w Instytucie Polskim w Bejrucie. Przewieziona kiedyś do wolnej Polski, będzie prawdziwą ozdobą każdego instytutu orientalnego przy danym uniwersytecie.



„Góra czcicieli ognia" — miejsce zbiórek Kręgu „Słoneczny Lew"

Jak żywy był ruch umysłowy Polaków-wygnańców w Persji, świadczy wymownie bibliografia druków polskich lat 1943-44, obejmująca przeszło 200 pozycyj, nie wliczając w to wielu artykułów w prasie na tematy polskie. (Zob. M. Gołaszewska i S. Kościałkowski, „Polonica bibliograficzne irańskie", 3 t. „Studiów Irańskich", Teheran, 1945). Bibliografia ta jest jednym z licznych dowodów żywotności

i prężności polskiego ducha, nie dającego się złamać ani ujarzmić!

Życie artystyczne skupiło się w Polskiej Wytwórni Artystycznej, założonej w Teheranie. Urządzone wystawy prac malarskich artystów polskich oraz przemysłu artystycznego (zwłaszcza lalki polskie) wywarły widoczny wpływ i na odpowiednie dziedziny sztuki perskiej.

Pozostały wreszcie drobne ślady polskie i w perskim przemyśle (pomijamy tutaj wpływy polskie w przemyśle perskim w dobie przedwojennej, które będą przedmiotem oddzielnej naszej pracy). Przy ul. Arbab Dzemszyd w Teheranie pozostały resztki spółki mleczarskiej pod nazwą „Iranpolu", założonej również przez wysiedleńców polskich. Ale ze smutkiem stwierdzić należy, że „polski słomiany ogień" i brak zmysłu do handlu nie pozwoliły tej, jak również i innym inicjatywom w tej dziedzinie — rozwinąć się należycie.

Jakiż był stosunek Persów do nas? Stara perska gościnność pozwoliła nam czuć się w kraju Lwa i Słońca jak najlepiej. Mimo pozorów, narzucanych warunkami politycznymi i wrogą nam propagandą, Persowie w głębi duszy byli od początku i pozostali do końca niezmiernie nam życzliwi. Wrodzona u Persów nieufność do obcych w zetknięciu z Polakami okazywała się często bardzo giętka. Płynęło to napewno z przekonania, że nas z nimi nic właściwie nie dzieli, przeciwnie — wiele łączy. Toteż wspomnienie słonecznego kraju i gościnnych ludzi pozostanie w sercach naszych na całe życie.

Kontakt między Persją a Polską nawiązał się już przed kilku wiekami. (Zobacz: Stanisław Kościałkowski, „L'Iran et la Pologne a Travers les siecles", Teheran, 1943). Był to kontakt głównie polityczny i handlowy. W latach 1942-1945 po raz pierwszy w dziejach Polacy zetknęli się z Persami bezpośrednio na ich ziemi. Oba narody zbliżyły się do siebie na polu kulturalnym. Poznały się bliżej z bezpośredniej obserwacji. I to pozostanie bezsprzecznie pozytywnym dorobkiem okrutnej z innych względów wojny.

Opuścili tułacze polscy Persję z końcem 1945 i początkiem 1946 roku. Przeszli do innych krajów: Afryki Środkowej, Indyj, Palestyny i Libanu. Rozproszyli się po świecie całym.

Ile nas jeszcze czeka etapów w drodze do wolnej Ojczyzny — nie wiemy. Wiemy to tylko, że etap perski dał nam lepiej poznać pokrewny nam naród aryjski, pomnożył nasze siły fizyczne i umysłowe do dalszej walki o prawdziwie wolną Polskę.

Dr Franciszek MACHALSKI, hm.

O STARCU, IDĄCYM DO MEKKI

Raz starzec, idąc w Mekki święte strony,
Co krok wybijał Bogu dwa pokłony.
Tak się zapalił do swej zbożnej drogi,
Iż nie wyjmował nawet cierni z nogi.
Wreszcie podszepty złego ducha liche
Z tego powodu wbiły starca w pychę.
Szatan go powiódł na ducha bezdroże,
Skąd drogi prostej sam znaleźć nie może.

I gdyby łaski nie było z nim Pana,
Wpadł byłby w sidła zdradliwe szatana.
Posłyszy w sercu jakiś głos tajemny:
„Starcze szczęśliwy, trud twój niedaremny!
Lecz nie sądź odtąd, że modlitwą samą
Staniesz przed niebios błogosławieństw bramą.
Jeden uczynek dobry znaczy więcej,
Niźli pokłonów twoich sto tysięcy!

Z perskiego przełożył Franciszek Machalski

ZE WSPOMNIEŃ IRAŃSKICH

Już kilka dni po przybyciu wygnańców polskich z ZSRR na teren Iranu — pierwsze dni kwietnia 1942 — rozpoczęła się praca nad organizacją szkolnictwa polskiego.

10 kwietnia 1942 zgromadziło się na lotnisku (2. obóz) około 1.200 dzieci i 65 nauczycieli, by po 2-3-letniej przerwie rozpocząć naukę.

Stan zdrowotny i materialny rodziców i dzieci — fatalny. Władze polskie czynią heroiczne wysiłki, by naprawić zniszczenie oraz wynik warunków życia niedawnej przeszłości. Młodzież bardzo szybko dochodzi do formy. Zmienia się wygląd, przybywają siły i chęci do nauki i pracy.

Gdy tylko nauczycielstwo i młodzież uporała się z pierwszymi trudnościami nowego życia szkolnego, rozpoczęło się „spiskowanie harcerskie". Na terenie obozów wsród młodzieży szkolnej uwijają się harcerze. Ten w kapeluszu harcerskim, ów z przypiętą lilijką, inny nawet w pełnym umundurowaniu. Jak drogie talizmany było to zachowane i uchronione od zniszczenia. A w kilka dni potem społeczeństwo obozowe codziennie wieczorem przygląda sie zastępowi harcerskiemu, maszerującemu sprawnie ze śpiewem na plac zbiórki. To kadrowa kompania harcerska.

„Starzy" harcerze przygotowują się do pracy organizacyjnej w nowych warunkach. Jedna z nauczycielek otrzymuje zniżkę godzin nauczania, by objąć opiekę nad harcerstwem do czasu zorganizowania władz harcerskich.

Praca wre, szeregi powiększają się jak grzyby po deszczu (oczywiście w Polsce), wyrastają na terenie wszystkich obozów teherańskich zastępy zuchów, harcerek i harcerzy. Szwalnie nie mogą nadążyć z szyciem mundurów. Zbiórki, odprawy, pogadanki, ćwiczenia — we wszystkich zakątkach obozowych.

A potem... pierwsze ognisko... tysiące widzów... płynie pieśń harcerska, jak dawniej, i tyle nadziei, że to już szybko...

Powitanie generała Andersa w 2 obozie. Jego słowa w głębokiej ciszy w hangarze: *Ani jednej chwili nie wolno stracić, uczyć się i polepszać swój charakter... Polska na Was czeka... Dojdziemy*!

Noc Świętojańska, wianki... I już odtąd całe życie społeczno-kulturalne uchodźstwa nabierze piętna harcerskiego.

Ten pierwszy okres organizacyjny harcerstwa dał nam wszystkim dużo przeżyć niezapomnianych. Harcerstwo objęło nieomal całą naszą młodzież na uchodźstwie.

Jeśli szkoły potrafiły swoje zamierzenia wychowawcze całkowicie zrealizować, to stało się to w dużej mierze dzięki pracy Harcerskiej Chorągwi Irańskiej.

Dziś rozrzuceni... Afryka, Nowa Zelandia, Meksyk, Indie, Liban, Palestyna! Myśl czasem błąka się wśród zakątków irańskich...

Gdziekolwiek jesteście, harcerze polscy z Iranu! Dojdziemy!!!

Liban, czerwiec 1946 r. P. Piałucha

TEHERAŃSKA PRZYGODA

Ulegając namowom Druha Redaktora oraz korzystając z wydania specjalnego numeru „Skauta“ poświęconego Persji, postanowiłem napisać garść wspomnień o pracy harcerskiej w Iranie.

Nie będzie to historia ZHP w Iranie. Będą to raczej moje osobiste przeżycia jako jednego z kierowników tej pracy w okresie 1942-1944.

W początkach października 1942 r. przybyłem do Teheranu, aby wypocząć po trudach Iraku i poznać krainę bajek z tysiąca i jednej nocy. Muszę przyznać, że rozczarowań w Teheranie nie zaznałem żadnych, a gdybym był autorem tych bajek, to chyba napisałbym jeszcze jedną bajkę — z 1002 nocy. Śmiało mogę powiedzieć, że w Teheranie przeżyłem jedną z najpiękniejszych swych przygód harcerskich, za którymi uganiam od wczesnych lat swej młodości.

Z radością muszę stwierdzić, że praca harcerska w Iranie zapoczątkowana została przez samą młodzież, która kiedyś w Polsce należała do tej czy innej drużyny harcerskiej.

Od 14 kwietnia 1942 do listopada 1942 na terenie Iranu nie było ani jednego instruktora ZHP, a spośród instruktorek jedynie phm. Busłowska Paulina, pełniąca funkcje hufcowej od kwietnia do 15 czerwca 1942 r.



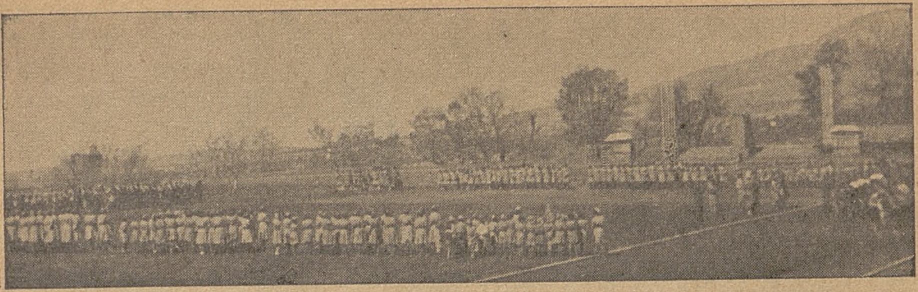
Drużyna męska im. Lisa Kuli w Teheranie — rok 1942

Nie było ani jednego drużynowego, ani drużynowej o odpowiednim przygotowaniu, a mimo to — powstają drużyny harcerskie jak grzyby po deszczu. W końcu roku 1942, a więc w kilka miesięcy po przybyciu na teren Persji, zastaję 9 drużyn harcerek, 7 drużyn harcerzy, 2 gromady zuchowe.

Rozwój harcerstwa w Iranie można podzielić na trzy okresy. Pierwszy — kończy się z rokiem 1942. Zamknięty został pracami organizacyjnymi i nawiązaniem bezpośredniej łączności z władzami ZHP na Wschodzie. Zakończeniem tego okresu jest wizytacja Iranu przez komendanta ZHP na Wschodzie.

W tym czasie pracy młodzież wykazała wysoką postawę ideową — mniejsze wyszkolenie harcerskie. Nie ponoszą jednak winy za mniejszy stopień wyszkolenia kierownicy ówczesnej pracy harcerskiej w Iranie. Sytuacja obozów uchodźczych wymagała od harcerstwa dość dużej pracy na rzecz dobra ogólnego. Harcerstwo prowadzi prace kulturalno-oświatowe, ogniska pokazowe, zajmuje się kolportażem gazet i komunikatów, opiekuje się drzewostanem obozów, pracuje w sortowniach odzieży i służbie bezpieczeństwa.

Dzięki swej postawie harcerstwo zyskuje szacunek społeczeństwa. Przejawia się bardzo życzliwy stosunek do pracy harcerskiej władz wojskowych oraz delegatury M.P. i O.S. Komendanci obozów w rozkazach swych wyrażają podziękowania drużynom harcerskim za pomoc w pracy.



Zlot harcerstwa polskiego w Manzarije — 6 V 1943 roku

Okres drugi — to rok 1943 *do chwili* przyjazdu na teren Iranu ekipy instruktorów odkomenderowanych z wojska.

Od stycznia do sierpnia 1943 harcerstwo w Iranie przechodzi stadium reorganizacji. Dzięki dużym wysiłkom hm. Szadkowskiego zostają zorganizowane i przeprowadzone przez niego kursy drużynowych oraz kursy o poziomie podharcmistrzowskim. Drużyny rozwijają się w szybkim tempie, drużynowi zwracają baczną uwagę na wyszkolenie.

Jest to okres intensywnej pracy, ukoronowanej dwiema imprezami o charakterze niespotykanym w dotychczasowej historii harcerstwa.

Impreza pierwsza — to zlot harcerstwa polskiego w Iranie. Zlot odbył się w dniach 5, 6 i 7 maja 1943 r. w letniej rezydencji szacha perskiego w Manzarije obok Derbendu.

Nie będę opisywał zlotu, nie będę podkreślał zasług młodzieży i jej kierowników. Ograniczę się do przytoczenia sprawozdania korespondenta pisma: *Polak w Iranie*, ogłoszonego w nrze 44 tej gazety z dnia 16 maja 1943 r.

„*Zlot harcerstwa*. Dnia 6 maja ogród w Manzarije, leżący u podnóża ośnieżonych gór, rozbrzmiewał gwarem i śmiechem polskich harcerzy i harcerek. Beztroska pogoda i radość, okrzyki młodzieży w tym uroczym zakątku pozwoliły zapomnieć, że paręset metrów dalej za tą zielenią są nagie skały, że jesteśmy na obcej ziemi w wędrówce do Polski. Wszystkim wydawało się, że tak jak przed laty u nas w Polsce — odbywa się wielki zjazd harcerstwa.

Drużyny po przybyciu na teren obozu rozlokowują się i przystępują do wyznaczonych prac. Pracy jest sporo: ołtarz, namioty komend, kuchnia. O zmroku roboty są wykonane. W drużynach zarządzono wieczorne mycie, potem kolacja, a po niej — odbite echem od skalistych gór — uderzyły w niebo słowa wieczornej modlitwy.

Dnia 7 maja od wczesnych godzin rannych przybywają coraz to nowe wozy z dziesiątkami młodzieży. O godz. 9 — 600 harcerzy i zuchów stoi w czworoboku przed pięknym polowym ołtarzem. Przyjeżdżają goście. O 9.05 nadjeżdża Poseł R.P., który w otoczeniu płka Rosa, przedstawiciela armii brytyjskiej, płka Antoniego Szymańskiego, delegata M.P. i O.S. Franciszka Halucha, płka Romualda Boryckiego i harcmistrza Zygmunta Szadkowskiego, wiceprzewodniczącego Rady Harcerstwa Polskiego na Wschodzie — odbiera raport od komendanta harcerstwa podharcmistrza Łysakowskiego, a następnie dokonuje przeglądu oddziałów harcerskich.



Zastęp na zbiórce

Przed nabożeństwem Pan Poseł w gorących słowach zwrócił się do młodzieży, życząc jej wytrwania w pracy i osiągnięcia najlepszych wyników. Rozpoczyna się msza św. Odprawia ją ksiądz dziekan Słapa, który w kazaniu podkreśla piękno idei harcerskiej. Po mszy św. defilada przed p. Posłem. Liczni widzowie gorąco oklaskują sprawnie maszerujące oddziały młodzieży harcerskiej, których wygląd zewnętrzny jest imponujący. Nowe mundury, ofiarowane przez delegaturę, wygląd ten jeszcze bardziej podkreślają. Z twarzy maszerujących bije radość, zdrowie i siła. Z brawurą i mocą przedefilowały drużyny, budząc w widzach wzruszenie i zadowolenie z tak dzielnej postawy.

Nad basenem, w cieniu drzew, hufiec harcerski z O.U.P. 3 wystawił stoisko z gazetkami ściennymi, z wydawnictwami harcerskimi, jakie ukazały się na uchodźstwie. Zostały też wyłożone kroniki i księgi pracy drużyn. O godz. 11 rozpoczął się bieg harcerski z przeszkodami. Do biegu stanęło 8 zespołów. Na trasie trzeba było pokonać dziesięć niełatwych przeszkód z wiedzy o Polsce, pionierki, terenoznawstwa, kucharstwa, samarytanki, łączności itp. Wszystkie zastępy, biorące udział w biegu, zakwalifikowały się do grupy bardzo dobrych.

W południe harcerze i goście raczyli się świetnym bigosem.

O godz. 15 rozpoczęły się uroczystości zuchów. Raport płkowi Szymańskiemu złożyła wędr. Szpytówna. Po odśpiewaniu hymnu zuchów hm. Szadkowski odebrał obietnicę zuchową, a płk Szymański wręczył nowym zuchom gwiazdki, odznaki zdobytych stopni. Po części oficjalnej odbyły się pokazy, zorganizowane przez gromady, tańce, rebusy, deklamacje i inscenizacje. Piękną bajkę dla zuchów opowiedziała druhna Karcz Kazimiera. Liczna publiczność i drużyny harcerskie obecne na uroczystości zuchowej rzęsistymi brawami nagradzały młodych wykonawców.

O godz. 18 przyjechał minister Pracy i Opieki Społecznej, który po raporcie komendanta harcerstwa dokonał przeglądu drużyn. W przemówieniu swym p. Minister przekazał pozdrowienia od Prezydenta R. P., Naczelnego Wodza i Rządu. Życzył młodzieży, aby w pracy harcerskiej zaprawiała się do przyszłych ciężkich obowiązków w Ojczyźnie. Wyraził nadzieję, że następny zlot będzie mógł się odbyć w przyszłym roku w wolnej Polsce.

Rozpoczyna się ognisko. Na program składają się w pierwszej części pokazy drużyn hufca phm. Tillówny, część drugą daje hufiec phm. Zarembianki, która kieruje całością ogniska. Program w części pierwszej harcerski. Pokazy przeplatane śpiewem, szczególnie dobra inscenizacja „Ody do młodości“. W części drugiej — tańce, pieśni, inscenizacje, wykonane w strojach ludowych, przenoszą nas do Polski.



Gromada zuchów „Wyrwidęby“

Na zakończenie ogniska — krąg harcerski. Płk Szymański jako przewodniczący okręgu irańskiego dziękuje harcerkom i harcerzom za wspaniałą postawę. Podkreśla wysiłek obu hufcowych i wszystkich drużynowych oraz pracę komendy. Dziękuje gościom za przybycie. Dziękuje specjalnie płkowi Rossowi i władzom delegatury za pomoc w zorganizowaniu zlotu. Zwracając się do Ministra dziękuje mu za zaszczycenie swą obecnością zlotu harcerskiego i prosi o przewiezienie do Indii, Afryki i Londynu gorących pozdrowień od młodzieży z Teheranu.

W odpowiedzi płkowi Szymańskiemu w pięknym przemówieniu p. Minister serdecznie dziękował młodzieży harcerskiej, p. Pułkownikowi i wszystkim kierownikom pracy za chwile, które spędził przy ognisku w atmosferze naprawdę polskiej. Zlot harcerski i ognisko wszystkim obecnym dało możność odetchnąć atmosferą naszej ziemi, a wrażenia doznane pozostaną na zawsze w pamięci. Na zakończenie Minister wzniósł okrzyk na cześć Polski i Narodu Polskiego. Harcerze odśpiewali swój hymn „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy“, a potem modlitwę. Gromkim „czuwaj“ żegnano odjeżdżających gości.

Drużyny harcerskie pozostały jeszcze na biwaku.

W ognisku poza harcerstwem wzięło udział ponad 1000 osób, na czele z przedstawicielami wojska i instytucyj polskich, oraz liczne rzesze Persów z Teheranu i okolicznych osiedli. Zlot dał młodzieży możność wykazania swej sprawności organizacyjnej i tężyzny duchowej“.

Tak pisał o zlocie „Polak w Iranie“.

Po zlocie intensywne przygotowania do akcji letniej. Znowu ciężka praca.

Zorganizowanie obozu harcerstwa w Iranie w lecie 1943 r. napotyka na nadzwyczajne trudności. Przede wszystkim — brak terenu, później — warunki wewnętrzne w Persji, a w końcu — brak instruktorów. Mimo to jednak trudności pokonano i został zorganizowany obóz harcerski w Jussef — Abad pod Teheranem. W obozie wzięło udział 1400 harcerek, harcerzy i zuchów.

Całość podzielono na 12 obozów harcerek, 7 obozów harcerzy i 10 kolonij zuchowych. Na obozie przeprowadzono kursy: podharcmistrzowski, drużynowych, wodzów zuchowych i zastępowych. Komenda obozu składała się od 23 lipca 1943 r. do 13 sierpnia 1943 r. z dwóch harcmistrzów i czterech podharcmistrzyń. W tym okresie komenda spoczywała wyłącznie na barkach — hm. Szadkowskiego, bez którego wybitnej pomocy nie mógłbym był zorganizować obczu w tych rozmiarach. W dniu 14 sierpnia 1943 r. przybyła do Teheranu wojskowa ekipa instruktorska w składzie trzech osób.

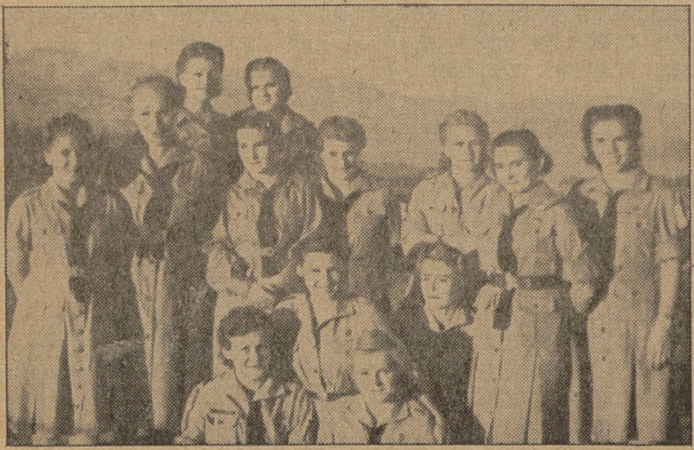
O obozie harcerskim odezwały się następujące głosy prasy:

„Polak w Iranie“ nr 56 z dnia 6 VIII 1943 r.

„Otwarcie obozu harcerstwa w Iranie. Od kilku tygodni w Teheranie działo się coś dziwnego. Chłopcy, dziewczęta, a nawet najmłodsze zuchy coś zbierali, nad czymś się naradzali, gromadzili jakieś linki, wiadra, manierki, czegoś się uczyli, do czegoś się przygotowywali.

I stało się. Około 1400 harcerzy, harcerek i zuchów przybyło na obóz harcerski, zorganizowany na terenie O. U. P. 3 w Jussuf-Abad. Z przyjemnością patrzyła komenda harcerska i rodzice, jak chłopcy i dziewczęta stawiali namioty, sami nosili prycze, sprzęt obozowy. Dzielnie pomagały komendantowi phm. Zarembianka, Tillówna, Kulikowska i Ceglewska. Dobra wola, zapał i młodość pokonały trudności.

W dniu 1 sierpnia 1943 r. nastąpiło uroczyste otwarcie obozu. O godz. 7 przybyli goście. Przedstawiciel p. Ministra R. P. w towarzystwie attaché wojskowego płka Rudnickiego i komendanta chorągwi harcerzy hm. Wiszniewskiego odbiera raport od komendanta obozu hm. Szadkowskiego. Obóz rozpoczęto mszą św. oraz przystąpieniem do komunii św. wszystkich harcerzy i harcerek. W ślicznym kazaniu J. E. ks. prałat Reginek życzył harcerzom pomyślności w pracy harcerskiej, ażeby idąc śladami swych przodków i twórców harcerstwa polskiego stali się w przyszłości „dobrym drzewem“, które stokrotnie rodzić będzie owoce na chwałę Bogu i Polsce.



Dnia 3 VI 1943 powstał krąg — Obieżyświaty

Po mszy św. odbył się przemarsz drużyn harcerskich przed przedstawicielem Ministra R. P. konsulem Okońskim, przedstawicielem władz brytyjskich płkiem Rossem, attaché wojskowym płkiem Rudnickim, delegatami M.P. i O. S. Pająkiem i Szewczykiem, komendantem placu płkiem Boryckim i licznie zebraną publicznością. Wspólne śniadanie harcerskie i

zwiedzanie obozu zakończyło uroczystości poranne.

O godz. 19 znowu zjechały samochody — i liczne rzesze ludności uchodźczej popłynęły na teren obozu harcerskiego. Gwarem rozbrzmiała cicha zazwyczaj kotlina. W pewnej chwili wszystko zamilkło. Wśród poważnej ciszy najmłodsza harcerka prosi płka Rudnickiego o rozpalenie ogniska. Buchnął płomień. Tradycyjna pieśń harcerska „Płonie ognisko“ popłynęła w niebo.

Pieśni, deklamacje i pokazy, wykonane pod sprawnym kierownictwem druhen phm. Zarembianki i Szpytówny przeniosły widzów w daleką polską krainę, gdzie rok rocznie płonęło tysiące podobnych ognisk harcerskich.

W pięknej gawędzie p. delegat Pająk podziękował harcerzom za dotychczasowy dorobek, zachęcił do dalszej pracy nad sobą życząc, żeby w przyszłym roku ogniska harcerskie płonęły już na Podkarpaciu i na Wileńszczyźnie, i w zachodnich dzielnicabh wolnej i szczęśliwej Polski.

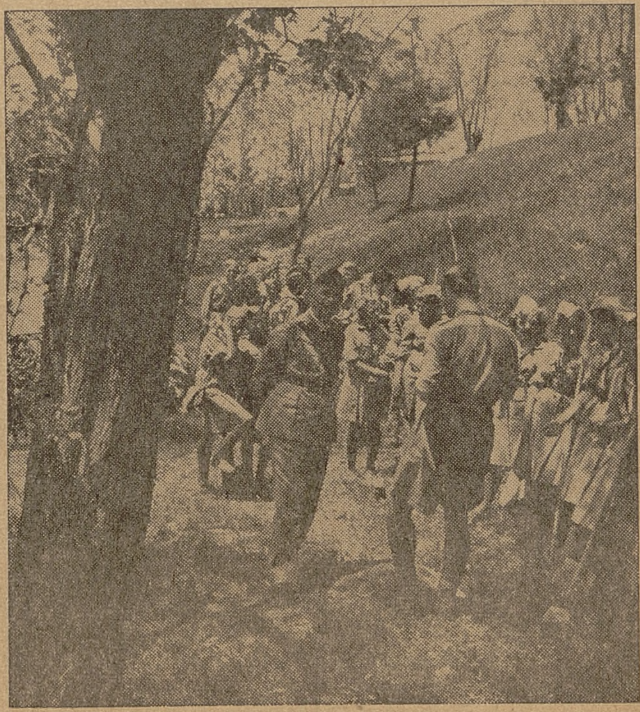
Ognisko zakończono zwykłą codzienną modlitwą harcerską. Rozjechali się przedstawiciele władz i goście. Rozeszli się rodzice do domów — przekonani, że synowie ich i córki mają dobrą opiekę, która pokieruje ich na drogę PRAWDY, DOBRA i PIĘKNA.

Tak pisał „Polak w Iranie“.

A dalej, gdzieś w dalekiej Ziemi Świętej pisał *„Orzeł Biały“ w numerze 39 z 1943 roku*:

„Dzieci mają swój język. Dzieci mają swój własny (starsi uważają go za „dziecinny i naiwny“) pogląd na świat, na otaczające je zjawiska. Ale jeśli kto potrafi na chwilę przestać być „dorosłym“, potrafi przypomnieć zmartwienia i radości lat dziecinnych, „zniżyć się“ o kilkadziesiąt centymetrów i odmłodnieć o dużo, dużo lat — ten zrozumie mowę małego ludka, wejdzie w ich odrębny świat, jakże ciekawy, jakże barwny świat. I będzie mógł najszczerzej, jak równy z równym, przeżywać znów swoje „szczenięce lata“.

Zawsze uśmiecham się na wspomnienie



Start do biegu harcerskiego w Manzarije



Na kursie wodzów zuchowych

pewnego dnia. I na sercu robi się jakoś ... cieplej.

Było to 6, może 7 lat temu. Pamiętam piękny, sosnowy las i polanę zarośniętą, pachnącą miodem i wrzosem i jakiś dziwny szałas - wigwam gromady „zuchów" bawiących się w Indian. Musiało to być plemię wielce dzielne, ale i okrutne, bo zobaczywszy podpatrującego ich intruza — „wstąpiło na ścieżkę wojenną" i wzięło mnie do niewoli. Okrzyki bojowe mroziły krew w żyłach, a śmierć okrutna w oczy zajrzała, albowiem rada wojenna (wspaniały wódz mógł mieć 9, może 10 lat) zażądała ... skalpu.

Uratowała mnie wtedy czupryna, a raczej zdecydowany jej brak. Skalp byłby zaiste lichy. Znając natomiast zmienność usposobienia „czerwonoskórych" zaproponowałem chytrze, aby darowali mi życie ... i przyjęli do swego plemienia. Fortel się udał. Musiałem jednak wkupić się.

Leżeliśmy we wrzosie rozśpiewanym pszczołami. Nad głowami wolno płynęły białe obłoki złotej, polskiej jesieni. Zwartą ścianą otaczał nas żywiczny bór. Okup składałem opowiadaniami. O krajach dalekich, o górach wysokich, o stepach bezkresnych. I o słońcu, stojącym prostopadle nad głową, i o własnym cieniu, chowającym się gdzieś pod stopami.

Takie dziwne, takie egzotyczne opowiadania. Wówczas...

Pamiętam dobrze te ślipka, aż okrągłe z zaciekawienia, i te buziaki otwarte w niemym zachwycie. Płynęły godziny.

A wieczorem przy ognisku nastąpiło pełne zbratanie z ludkiem czerwonoskórym i zaszczyt niedala spadł na mnie. Dostałem bowiem przydomek... „Błyszczącego skalpa".

W najlepszej zgodzie maszerowaliśmy do domu.

Niedawno znów spotkałem taki mały ludek. Inne są czasy i inne warunki. Do ich i do mego domu jest bardzo, bardzo daleko... I ani górami wysokimi, jakimiś tam bezkresnymi stepami i żarem słonecznym już im nie zaimponujesz. Z egzotyką są za pan brat. Inne tematy ich interesują, lecz język małego ludka pozostał ten sam.

Warczy bęben. Odzywa się drugi, trzeci. Wzywają. Od strony namiotów słychać śpiewy nadciągających gromad. Idą „górale" i „góralki", „pracowite pszczółki" i „stokrotki", „marynarze" i „wilki morskie". Niosą swoje totemy. Z szacunkiem, ze czcią, prawie jak sztandary oddziałów. I ul, przystrojony wstęgami, i wielki kwiat stokrotki, i ciupaga bacowska, i okręt z rozpiętymi żaglami.

W cieniu smukłych cyprysów ustawiają się kołem.

Wódz wywołuje gromady: „Marynarze"! Pada okrzyk-hasło: „Morze".

I tak dalej. Są wszyscy. Bo wielki i uroczysty dziś mamy dzień. Mają dostać odznaki sprawności, ale przed tym trzeba dowieść, że są naprawdę „góralami", „marynarzami", „pracowitymi pszczółkami".



Teheran, maj 1943 roku: uroczystość przyrzeczenia

Egzamin poważny. Wódz rzuca pytania chytre, podchwytliwe. Ale mały ludek nie jest wystraszony. W okresie swoich prac-zabaw zdobył potrzebne wiadomości. Odpowiedzi są jasne i pewnym głosikiem dawane. Nie wykute, nie wyuczone na pokaz, dla popisu przed rozczulającymi się na widok „takich grzecznych dzieci" dorosłymi.

I „stokrotka" wylicza kwiaty naszych zielonych łąk, i pszczółka opowiada o pracy zbiorowej ula, i „góralki" o halach i połoninach, o serkach owczych i parzenicach haftowanych...

„Górale" wiedzą dużo o Tatrach, o Karpatach.

— A jeżeli wielki, szary niedźwiedź na stado, które pasiesz, napadnie, co zrobisz, góralu.

Rzeczywiście. Co zrobi wtedy on — „góral", mający może metr wzrostu. Niedźwiedź jest wielki i ma potężne pazury.

Mała piąstka ściska wystruganą własnoręcznie ciupagę; ciupaga furczy młynkiem nad głową, a juhas piszczy zuchwale:

— Nie dam, odpędzę.

„Marynarze" prawią o morzu, przede wszystkim o tym jedynym, szarosiwym morzu z północy, co wbiega na piaski Helu i bije spienione o łamacze fal w Gdyni...

— Marynarzu, czy jesteś dzielny?

O, doprawdy, wódz jest bardzo chytry i zadaje bardzo dziwne pytania. Czy on jest dzielny? Mały „marynarz" stoi w szerokim rozkroku, jak na prawdziwym pokładzie rozkołysanego statku; podparł się w boki. Brwi zbiegają się w zmarszczkę namysłu, chwila skupienia i pada odpowiedź jasna jak słońce:

— Jak każdy polski marynarz...

Małe „ to to", ale jak wielkie ma serce. „Jak każdy polski marynarz". Daj grabę, kolego... I śpiewajmy razem o morzu, którego mamy strzec...

Śpiewamy trzymając się pod ręce, rozstawiwszy szeroko nogi i kołysząc się w takt. W tej chwili mamy pod stopami nie spieczoną ziemię irańską, a roztańczony pokład, a ten zielony cyprys — to chyba maszt z banderą wiatrem słonym rozwianą...



Obóz w Jusuf-Abad, stoją: p. Pająk, hm. Szadkowski, p. Rzerzycha

Wódz uznaje, że można nadać odznaki sprawności. Wyznaczeni delegaci idą umoczyć kawałek „skały" w „siklawie górskiej". A potem wódz taką „skałą" wbija w drzewce totemu odznaki.

To już nie zabawa, to już uroczystość. Poważna. Totem urasta do wielkości symbolu gromady.

Dziwna rzecz. Nogi jakoś same „zbierają się do kupy" i ręka odruchowo podnosi się do furażerki.

Gromady śpiewają swoje pieśni gromadzkie. O morzu, o górach, a potem przy ognisku znów zebrał się mały ludek na sąd, czy też wielką radę. I cisza była — jak makiem siał. I wielką „Czarną księgę" wódz otworzył. Straszna to księga. Wpisuje się do niej imiona tych, którzy złamali prawo gromady, albo oszukali, albo rozkazu wodza nie usłuchali... Słowem — wstyd gromadzie przynieśli.

Tak, straszna to księga. I wiele dobrego trzeba zrobić, i bardzo się starać, aby wymazać swoje imię z jej kart.

Czy mamy kogo dziś do wpisania na jej kartę.

Cisza, złowroga cisza. Niestety, jest taki — i to właśnie z gromady „wilków morskich". Kąpał się w „morzu" wtedy, gdy było to zabronione.

To nic, że „morze" jest wielkości sporej balii, a ciepła woda sadzawki sięga do kolan, to nic nie znaczy i nie usprawiedliwia. „Wilk morski" nie usłuchał rozkazu wodza, złamał prawo gromady. A to już ciężka wina.

Ponuro warczą werble i wódz wpisuje czerwonego jak rak winowajcę do „Czarnej księgi". Musi się poprawić, zmazać winę. A potem wódz otwiera „Złotą księgę". Księgę doprawdy dzielnych i zasłużonych.

— Kogoż mamy dziś wpisać na jej złote karty?

— Wodzu — głos małego „juhasa" drży ze wzruszenia — wodzu, Janek z „gromady górali" pomógł mi wyprać spodnie... I jakaś „pszczółka" sprzątnęła i zamiotła przed namiotem „stokrotek"...

Radośnie brzmi śpiew małego ludka, gdy wódz zapisuje do „Złotej księgi", bo to wielka rzecz żyć gromadą i nawzajem sobie pomagać.

Czy wyobrażasz sobie, czytelniku, jakie wielkie pranie i sprzątanie będzie jutro w obozie zuchów. Jak trzeba będzie pilnować swoich portek, aby ktoś ich nie prał za ciebie. Nie wyczyścił twoich butów. Nie sprzątnął twego namiotu. A najwięcej to będzie się starał ten „wilk morski", co to z tym kąpaniem się w „morzu" „przeskrobał". Bo co tu gadać — „Złota księga" jest doprawdy złotym pomysłem.

Przed snem jeszcze raz zbiera się ludek przy „wodospadzie". To nieważne, że „wodospad" jest zwykłym arykiem. Ważne jest to, że musi być czysty jak górski potok, jak kryształowa, tatrzańska siklawa. Jest wyczyszczony. Nie znajdziesz w wodzie ani listka, ani okruszyny śmieci.

Przed nocą trzeba w tym „wodospadzie" umyć sobie ręce, przetrzeć oczy i przetrzeć uszy. Bo „górale" i „marynarze", i wszyscy inni muszą mieć czyste ręce, ostry wzrok i czujny słuch" — aby czuwać i być gotowym stawić się w każdej potrzebie.

Po kolei z powagą podchodzą gromady. Myją ręce, oczy, aby potem znów ze śpiewem (ileż piosenek to bractwo umie!) odejść do namiotów i szałasów. Ostatni myje ręce wódz...

W oddali słychać słowa wieczornej modlitwy. Po drodze, po pracowicie i pożytecznie spędzonym dniu, ludek mały kładzie się spać. Czarne sylwetki cyprysów wyciągają się ku niebu, zza dalekich gór wychyla się czerwona tarcza księżyca. Cisza.



On też przygotowuje się na obóz

Nie, nie. Doprawdy się nie wstydzę napisać, że też zanurzyłem ręce w wodzie „tatrzańskiej siklawy", przetarłem oczy i uczy. Bo „górale" i „marynarze", i wszyscy inni winni mieć czyste ręce, ostry wzrok i czujny słuch, aby być gotowym stawić się w każdej potrzebie.."

W Teheranie ze wszystkich obozów naszej ludności cywilnej zebrano dzieciaki i podrastającą młodzież. Było tego coś z 1400 „sztuk". Pod kierownictwem swoich druhów i „wodzów" spędzili 6 tygodni w obozie harcerskim. Uczyli się, pracowali, ćwiczyli. Starsi szkolili się na przyszłych drużynowych i zastępowych. Młodzi byli przyjmowani do harcerstwa. Ci najmłodsi — szkraby-zuchy — w zabawach-naukach zdobywali wiedzę o swoim Kraju, uczyli się podstawowych zasad życia społecznego, mądra ręka „wodzów" prowadziła te skomplikowane instrumenty — duszami dziecka zwane — na drogę prawych charakterów i dzielnych ludzi.

Mówiliśmy już, że dzieci mają swój własny język, ale kierownicy tego obozu, nieliczni harcmistrze, językiem tym władają doskonale. Mało tego — mają iskrę Bożą. Są wychowawcami z powołania. Odkomenderowani z wojska na prowadzenie tej tak odpowiedzialnej pracy, nie zważając na wiek i gwiazdki, są dla małego ludka „druhami" i „wodzami". Nigdy nie są dorosłymi wśród dzieci. Nigdy! W tym właśnie tkwi tajemnica powodzenia ich pracy.

Dlatego właśnie w obozie harcerskim nie usłyszycie wierszyka odklepanego przez przełożonego mikrusa, bez zrozumienia jego treści i sensu — ku rozczuleniu... „dorosłych", a spotkacie takich „marynarzy", „górali", „juhasów"...



Wodzowie zuchów

Dlatego też na podstępne: „Czy jesteś dzielny" — otrzymacie tam twardą i hardą odpowiedź: „Jak każdy polski marynarz"...

Obóz harcerski w Teheranie już rozwiązano. Trwał zaledwie 6 tygodni. Wyniki jednak są nadzwyczajne. Możemy być pewni, że wśród tych dzieciaków, które teraz znów są z rodzicami w obozach lub ... znów w sierocińcach, nauka w las nie poszła.

Daj, Boże, takich obozów jak najwięcej. Daj, Boże, by tacy „wodzowie" i „druhowie" ... na kamieniu się rodzili. Daj, Boże, by jak najwięcej takich „górali", „marynarzy" i „pszczółek pracowitych" do Kraju dało się przywieźć.

Na zakończenie powiem tylko, że gdybym teraz stanął na takiej „wielkiej radzie" i jakiś naprawdę „wielki wódz" otworzył swoją „Złotą księgę" — nie wahając się wstałbym i powiedział:

„Wodzu, zapisz do tej „Złotej księgi"— ale zapisz wielkimi literami, imiona tych druhów i wodzów, którzy w Teheranie i w Ispahanie i w szkołach junaków w Egipcie kształcą charaktery najmłodszych naszego Narodu, którzy pracują nad naszym Jutrem.

Wielka to praca i robią ją rzetelnie".

Tak pisał „Orzeł Biały".



Irańska ekipa instruktorska: hm. Peszkowski, hm. Sylwanowicz, hm. Brzeziński i wiceprzewodniczący Rady ZHP n. W., hm. Szadkowski Zygmunt.

Okres trzeci rozpoczyna się z chwilą przybycia do Teheranu ekipy instruktorów odkomenderowanych z wojska. Jest to okres intensywnej pracy wyszkoleniowej, w czasie którego przeprowadzono w Teheranie, Ispahanie i Ahwazie szereg kursów dla drużynowych, zastępowych i wodzów zuchowych.

Wynik pracy instruktorów jest bardzo duży, trwa ona jednak krótko, bo wkrótce młodzież odjeżdża transportami do Afryki, Indii i Meksyku. Jadą jednak drużyny wyszkolone, zwarte, gotowe do dalszej pracy na nowym terenie.

Za drużynami jadą instruktorzy odkomenderowani z wojska, zostaje tylko hm. Sylwanowicz Kazimierz, który mimo olbrzymich trudności wytrwale prowadzi pracę w Iranie aż do chwili obecnej. W roku 1944 przeprowadza akcję letnią w Teheranie, Ispahanie i Ahwazie. O pracy tej nie piszę szczegółowo, bo nie byłem już na tamtejszym terenie.

Kończąc te uwagi o pracy harcerskiej, jako były komendant chorągwi

chcę tą drogą złożyć w imieniu całej młodzieży harcerskiej, która przeszła przez Iran, serdeczne „Bóg zapłać“ za pełną poświęcenia, się pracę hm. Z. Sz., A. T., J. Z., kpt. W. Ł., phm. W. S., a następnie „Radosnemu Porankowi“, „Zadumanej Sośnie“, „Szumiącemu Arykowi“, Srebrzystemu Lisowi“, „Białemu Lisowi“, „Rysiowi-Zuchowi“ i „Leśnemu Ludowi“. „Dziewczynie Południa“ — „Bóg zapłać“ za bezinteresowną pomoc w pracy komendy chorągwi.

Wszystkim życzę rychłego spotkania się w prawdziwie wolnej, niepodległej Polsce, przy wspólnym ognisku harcerskim, w jakimś miłym zakątku naszej cudnej Wileńszczyzny.

Edward WISZNIEWSKI, hm.

GDY NIESZCZĘŚĆ FALA ...

Gdy nieszczęść fala ponad miarę wzrosła
i wichry zdradne żagle rwą, a wiosła
przemoc wyrywa z obemdlałej dłoni,
nowy trud ciebie od rozpaczy broni.
W omszałych kartach dziejów naszych księgi,
świadków sędziwych chwały i potęgi,
w serca polskiego obolałym kątku
szukaj nadziei zetlałego wątku —
i wierz w tej strasznej zwątpienia godzinie,
że Ta, co żyje, przenigdy nie zginie!

Franciszek Machalski, hm



Ispahan, rok 1943: kurs wodzów zuchowych

P E R S E P O L I S

(Ognisko harcerskie)

A więc to jest Persepolis. Z całym impetem dobiegających do celu silników dwu „doczek" wjeżdżamy w świat przeszłości. Migają w przelocie poszczególne fragmenty ruin, chwytane chciwie rozciekawionym wzrokiem: kolumny wyniosłe, jakiś biały zarys schodów, królewskie łuki kamiennych postaci.

Zajeżdżamy przed schronisko, obrośnięte pnącymi różami. Mimo woli wciągam w płuca szerokim haustem świeże, wieczorne powietrze. Czy naprawdę pachnie tu legendą i tysiącami lat minionych dziejów?

Bo w powietrzu dominuje dobrze mi znany zapach kapryfolium z zielonego ogródka, a drobne, czerwone różyczki kwitną zupełnie po dzisiejszemu...

Jednocześnie panującą ciszę targa gwar kilkudziesięciu głosów. Zaczyna się ruch, zwykła krętanina koło rozładowywania bagażu. Ktoś pyta o kąpiel, o herbatę, ktoś poszukuje gwałtownie plecaka, który „przecież gdzieś tu był"...

Z wprawą zdobytą na poprzednim postoju zabieramy się do urządzenia noclegu.

Późnym wieczorem — ognisko.

Przychodzę jedna z ostatnich. Na miejscu zastaję już cały krąg, kierownika wycieczki dha Machalskiego oraz kilka osób „cywilnych". Druh Kazik z druhną Baśką majstrują jeszcze coś koło stosu. Wreszcie — uroczysty głos Baśki: „O rozpalenie dzisiejszego ogniska poproszę druha Machalskiego".

Jedna.... dwie... trzy iskierki — trochę niebieskiego dymu i pierwszy nieśmiały płomyk.

„Płonie ognisko" — a w naszym zwartym kręgu włada czarodziejska siła młodej i pełnej życia piosenki. Śpiewamy o tym, jak to „Wisła płynie", jak to „Idzie dysc, idzie sikawica" — i o tym, że „...dla Hucuła nie ma życia, jak na połoninie..."

Śpiewamy jakby na przekór tej przeszłości, która wydaje się tutaj bardziej oczywista niż teraźniejszość.

Po piosenkach czekamy na gawędę o Persepolis. Ale dh Machalski widocznie pod wpływem ogniska zaczyna mowić o życiu dzisiejszym, o wojnie, o zadaniu, jakie harcerstwo czeka w dzisiejszych czasach. Później jednak wraca do przeszłości.

Nie można do niej nie wrócić, bo ona tutaj z całym despotyzmem Dariuszów i Kserksesów narzuca się myślom i świadomości. Ocieramy się o nią.

„Tam sobie wybudował pałac Dariusz, tu bliżej zaczął budować Kserkses, dokończył Artakserkses" — mówi druh, wskazując na rysujące się w świetle księżyca resztki potężnych ścian kolumn i portali.

Oni tu niegdyś żyli i swoim twórczym rozmachem wzniecili w tych miejscach zapał do ogromu pracy nadludzkiej, wykonywanej mrówczym trudem tysięcy ludzi. I po co to wszystko?

Po to, żeby dziś te kruszejące stale i stale sypiące się w gruz ruiny mogły opowiadać nam i tym, co tu po nas przyjdą, zamierzchłą legendę o wielkości i o nich.

Po skończeniu ogniska idziemy wszyscy na ruiny.

Taka cisza wokół nas. Cisza, która po prostu, zdaje się, wyczekuje na głosy sprzed dwu i pół tysiąca lat, odbite gdzieś w głębi dziejów potężnym rezonansem. Ale gdzieś niedaleko świerszcz ćwierka sobie najzwyklej w świecie, uzmysławiając rzeczywistość.

Okrągły, jasny księżyc wybiela ruiny tworząc z nich nieprawdopodobnie piękną kombinację światła i cieni. Jedne wyłaniają sie białymi konturami, drugie znowu rysują się ostro czarną sylwetką na rozświetlonym niebie. Zimny blask pełza wśród zwalisk, jakby szukał tutaj „po próżnicy" śladów umarłego życia, zagląda w kamienne oblicze płaskorzeźb, rysuje ostrym cieniem każdy fałd ich ubioru.

W sali stu kolumn nie ma już dzisiaj ani jednej z nich. Stoją tylko ich resztki, suchymi rzędami przypominające ścięty las.

Płaskorzeźby w najstarszym pałacu Dariusza były pokryte złotą blachą. Teraz już tylko księżyc nie skąpi im grubej, srebrzystej pozłoty. Wszystkie rysy, szramy, pęknięcia nikną gdzieś i czasami ma się wrażenie, że to jakaś siła czarodziejska rekonstruuje dawne, niezrujnowane piękno. Królewski kontur schodów prowadzących do



Ispahan, 1943 rok: kurs drużynowych

sali tronowej ludzi nie do uwierzenia swoim wykwintnym, nieporównanie subtelnym kształtem balustrady. Przez chwilę słychać lekki stuk kroków. Stąpamy po płaskich, szerokich stopniach. Iście królewskie to schody. Przybywa na nich lekkości stopom i nogi unoszą się same jakimś pełnym godności ruchem. Kilkanaście zachowanych kolumn sali tronowej daje słabe pojęcie o jej ogromie, a już wydaje się on nieprawdopodobny.

Tutaj, w tej sali, jak głosi legenda, podczas uczty kazał Aleksander Wielki podpalić lekkie ściany z jedwabnych tkanin, na żądanie jednej z tancerek — pięknej Tais. Ogień rozszedł się i zrujnował na zawsze cały piękny przepych pałacu. Mimo woli nasłuchuję, czy z łagodnie otaczających pałac stoków górskich nie doleci jakieś zagubione echo tych okropnych scen. Ale wokół — ta sama cisza rozedrgana ćwierkaniem świerszczy.

U wejścia do sali tronowej zbiegło się całe potężne imperium Dariuszów: wszystkie podbite ludy idą wielkim korowodem składać daniny. Ciemnolicy Egipcjanin, brodaci Asyryjczycy, Grecy o klasycznych rysach — wszyscy wiozą dary królewskie, prowadzą muły, wielbłądy, woły. Ileż burz przewaliło się nad nimi! Zmieniły się czasy i — ludzie, tysiące lat przesunęło się obok nich, a oni idą ciągle, posłuszni rozkazowi władz.

Duża, tu i ówdzie zarośnięta trawą przestrzeń dzieli nas od głównej bramy wejściowej. Już zdala rysują się majestatycznym konturem podgięte w górę skrzydła byków asyryjskich, strzegących tej bramy, ich długie, kręcone w równe pukle brody i zagadkowe oblicza patrzące na wschód i zachód.

Co miały oznaczać te tajemnicze postacie na pół ludzkie na pół zwierzęce — dzisiaj to stanowi jedną więcej zagadkę niepowrotnej przeszłości. I nagle przychodzi mi na myśl, że to właściwie ona sama, ta przeszłość, królująca tu tak nieuchwytnie, tutaj w postaciach tych byków daje się poznać w kształcie widomym — i wyjedzonymi przez czas oczyma patrzy przez wieki na wschód i zachód.

Kajtek z Kręgu Starszoharcerskiego w Ispahanie



S Z I R A Z

Wyjeżdżamy z Persepolis. Jasna serpentyna prowadzi nas do Szirazu. Z podziwem patrzymy na dalszy ciąg kompleksu gór Zagros, będących jakby jednym długim zamczyskiem stojącym na straży swego państwa. Jego dawnej świetności i dzisiejszego zapomnienia.

Niebosiężne szczyty wywierają na nas ogromne wrażenie. Z każdym niemal kilometrem potęgują wrażenie piękna. Bajecznie kolorowe ich ściany pokryte krzewami i kwiatami zostają za nami, a oczom naszym ukazują się nagie skały, w których natura wyrzeźbiła jakby olbrzymie postacie ludzkie, kryjące w sobie niezgłębione tajemnice. Oczarowani jesteśmy pięknem natury i podziwiając dzieło Mistrza-Boga jeszcze bardziej widzimy jego wielkość.

Auto mknie w szalonym pędzie. Już z dala ukazują się naszym oczom kopuły meczetów, wierzchołki drzew, dachy domów, a w chwilę później widać jak na dłoni — położone w urodzajnej nizinie Toors, tonące w zieleni miasto. Jest to Sziraz — „miasto róż i wina", stolica Persji w XVIII w.

Wjeżdżamy w starą zniszczoną bramę, niegdyś wspaniałą strażnicę potężnej stolicy, gdzie wisiała święta księga Koranu.

O Szirazie słyszałyśmy wiele, toteż nie mogąc ukryć ciekawości wychylałyśmy z auta swe „nadobne główki", by móc wszystko widzieć.



Ispahan, 1943 rok: kurs zastępowych

Zrobiliśmy na tubylcach niezwykłe wrażenie. Wycieczkę naszą bowiem należy zaliczyć do jednej z pierwszych wycieczek europejskich. Dowodem ich ciekawości było „oblężenie" hotelu, w którym zamieszkaliśmy. Jest to bardzo ładny, komfortowy hotel z ogrodem pełnym róż.

Wypoczęci i zadowoleni wyruszyliśmy następnego dnia za miasto w celu zwiedzenia pamiątek — nie tylko cennych dla Szirazu, ale także dla całego Iranu.

Sziraz jest rodzinnym miastem Hafisa i Saadiego. Przez środek miasta przepływa rzeka Rakwabod — obecnie wyschła. Wielkie i piękne niegdyś miasto zostało strasznie zniszczone przez Mongołów. Nie upada jednak. Pracuje nad odbudową, co się w większej części udaje. Jednak wiszące nad nim fatum nie dokończyło swego dzieła. Sziraz zostaje prawie zniszczony przez straszną powódź. Mieszkańcy nie dają jednak za wygraną, podnoszą swą stolicę i w chwili, gdy dochodzi ona do stopnia najwyższego rozkwitu, napad Awganów w 1722 r. kładzie kres świetności.

Dzisiejszy Sziraz jest już jakby nowym Szirazem, lecz pamiątki, jakie w nim pozostały, są stare i chcą niejako przypomnieć, że po tylu nieszczęściach zachowały się i przetrwają jeszcze wieki.

Centrum dawnego miasta, gdzie spoczywa Hafis, jest dziś przedmieściem. Miejsce to jednak nie straciło na ważności, bo kryjąc w sobie ciało jednego z największych liryków świata jest cennym skarbem państwa, a oprócz tego jest celem wielu wycieczek nie tylko miejscowych, ale nawet zagranicznych.

Grób Hafisa żyjącego w XIV w. (zmarł w 1386 r.) jest rekonstrukcją dawnego grobowca budowanego w stylu wschodnim.

Drugim miejscem zwiedzenia był grób Saadiego. Zmarł w 1291 r. Jest wielkim poetą perskim — moralistą.

Największymi jego utworami, arcydziełami dydaktycznymi są: „Ogród róż" i „Ogród warzywny".

Stamtąd pojechaliśmy do pałacu rodziny Ghawam z XVIII w. Piękny ogród pełen cytryn i pamarańcz oraz białych róż zwrócił uwagę wycieczkowców. Aleja wysadzona różami zaprowadziła nas przed pałac, gdzie kobieta w czadrze oznajmiła, iż gospodarz jest nieobecny. A więc — szczęście nam nie dopisało. Zwiedziliśmy tylko ogród. Po raz pierwszy ujrzałam tam palmę, jedyną w tym ogrodzie, która wskazywała, że klimat tutejszy różni się nieco od ispahańskiego.

Oprócz pięknych kwiatów zwracały na siebie uwagę niebotyczne, stożkowatego kształtu cyprysy.

Jazda autobusem do następnego zabytku trwała kilka minut. Jest to panteon zasłużonych poetów perskich i derwiszów — objaśniał dr Machalski — miejsce to nosi nazwę „Cziiltan" — czyli czterdzieści ciał.

Wrażenia potęgują się. Teraz możemy sobie wyobrazić wielkość i potęgę „państwa, nad którym nie zachodziło słońce". Resztki dawnej świetności pozwalają nam o tym się dowiedzieć.

Znowu wsiadamy do auta i z wielką ciekawością jedziemy do liceum. Duży ogród chroni nas przed niemiłosiernie palącym słońcem. Trafiliśmy właśnie na egzamin, toteż nie odrazu podejść można było

do „czarnych". Po chwili dało się wszystko załatwić i obce dziewczynki — z pewnym jakby wstydem i lękiem zbliżyły się do nas. Zawarcie znajomości nie trwało długo. Rozmówiłyśmy się z nimi po angielsku i rosyjsku, po czym zaproszone do klasy śpiewałyśmy sobie nawzajem różne piosenki. Czas upłynął szybko i b. przyjemnie. Pani dyrektor przyjęła nas bardzo serdecznie mówiąc dużo o szkole i swych wychowankach.

Niezmiernie zadowolone, że mogłyśmy poznać tę szkołę, która dotąd w naszym pojęciu wyglądała zupełnie inaczej, opuściłyśmy gościnne miejsce.

A teraz śpieszymy się do muzeum. Jest ono wprawdzie nieduże, ale zawsze można coś zobaczyć. Z prawdziwym podziwem oglądaliśmy księgi Koranu w oryginale, których jest trzydzieści. Są pisane na pergaminie w języku hafickim. Wszystkie odpisy Koranu pochodzą właśnie stąd. Oprócz wielu innych pamiątek z Persepolis można tu zobaczyć naczynia ceramiczne z epoki Sofawidów, prześliczne miniatury, najstarsze szkło oraz wiele innych rzeczy. Jedną z najcenniejszych pamiątek jest szabla, która była pierwszą na świecie. Jest to szabla szacha Karim-Chana. Oprócz niej jest tam szabla szacha Abbasa.

Ponieważ ciekawi byliśmy, jak wygląda bazar, więc pomimo strasznego upału postanowiliśmy go zwiedzić. Jest bardzo podobny do ispahańskiego. Jest to jeden z największych bazarów w Iranie. Miasto Sziraz słynie z wyrobów artystycznych, naczyń srebrnych, dywanów i wyrobów ze skóry, toteż wszystko to mogliśmy oglądać właśnie na bazarze. Przez długie, dość czysto utrzymane hale przechodziliśmy jak dziwadła zwracając uwagę tubylców i słuchając tu i ówdzie różnych pytań. Całe bowiem miasto wiedziało, że przyjechali Polacy. Sziraz jest znany z wina i róż. Ma rozwinięty handel wszelkiego rodzaju wyrobami artystycznymi, opium, suszonymi owocami i skórami futrzanymi.

Z żalem opuszczaliśmy ten „wymarzony" Sziraz, pozostawiający po sobie wiele, wiele wrażeń i miłych wspomnień, które nam długo zostaną w pamięci i które zawieziemy do Polski.

J. J.



Rada obozu harcerskiego w Ispahanie



Na wycieczce była i wspinaczka

DZIESIĄTA DRUŻYNA ZWIEDZA ISPAHAN

Po obejrzeniu naszych zakładów ks. arcbp Marina ofiarował fundusze na wynajęcie autobusów, aby umożliwić dzieciom polskim zwiedzenie starych zabytków Ispahanu.

18 maja przyszła kolej i na nas. Po mszy św. wyruszyłyśmy na tę wycieczkę. Cieszyłyśmy się bardzo, że zdobędziemy dużo wiadomości. Najpierw przybyłyśmy do meczetu Dżume — najstarszego meczetu w Ispahanie, bo ma już około 900 lat. Prowadzi do niego aż 8 bram. Przy wejściu do meczetu ujrzałyśmy zawieszony u bramy łańcuch, który w dawnych czasach miał wielkie znaczenie, gdyż skazańcy, jeśli się dotknęli do niego, byli ułaskawiani. Obecnie już je stracił. Przy tej samej bramie na ściani znajduje się „odbicie ręki“ Mahometa. Wewnątrz każdego meczetu znajdują się baseny z wodą.

Utrzymują je mahometanie na pamiątkę świętego męczennika Husseina, który zmarł z pragnienia, i dlatego, aby żaden prawowierny wyznawca Proroka nie zginął tą śmiercią, strzegą bardzo.

Każdy meczet posiada kopułę, zwykle wyłożoną piękną mozaiką, a obok niej minarety, z których kapłani, tzw. muezzini, wzywają wiernych do modlitwy. Kopuła i minarety meczetu Dżume są bardzo zniszczone, lecz tak jak i cały meczet napewno niedługo będą odnowione.

W świątyni tej jest jeszcze jedna osobliwość, mianowicie — meczet zimowy. Jest to budowla nie posiadająca okien. Zamiast nich wbudowano w sufit cienkie alabastrowe płyty. Ma się przez to wrażenie, jakby cały dzień paliły się tam lampy naftowe.

Byłyśmy także na dachu. Widać stamtąd całą rozległą kotlinę ispahańską z miastem na pierwszym planie.

Szukałyśmy znajomych obiektów. Spośród najbliższych wyróżnić można meczet Dardan z gniazdem bocianów na szczycie oraz meczet, gdzie znajduje się grób brata Mahometa i rzeźba przywieziona z Babilonu.

Stąd auta zawiozły nas do meczetu Szach. Po wejściu do środka zobaczyłyśmy wysokie mury od góry do dołu wyłożone mozaiką. Wszystko mieni się niebiesko i złoto.

Najpierw pobiegłyśmy pod kopułę, gdzie kazano nam klasnąć, i usłyszałyśmy, jak jednemu klaśnięciu towarzyszy dziesięciokrotne echo. Stąd poszłyśmy dalej oglądać piękne mozaiki i marmury.

Po drodze do zakładu obejrzałyśmy jeszcze jeden zabytek: „Pałac czterdziestu kolumn“. Ma ich właściwie tylko 20, lecz gdy się stanie po drugiej stronie basenu, widzi się drugie 20 odbite w wodzie.

Wewnątrz zwiedzałyśmy olbrzymią salę, w której szach Abbas przyjmował posłów. Ściany tej sali są pokryte malowidłami przedstawiającymi zwycięskie boje lub uczty z czasów tego władcy. Czas uciekał, zbliżało się południe i trzeba było wracać do zakładu.

Tak się skończyła wycieczka, którą powinnyśmy pamiętać długo.

Maria Miltanówna

ŚWIAT HARCEREK

ZE WSPOMNIEŃ HARCERKI

Sen coraz czulej otulał obóz.

Noc szła — dumna, wspaniała i głęboka.

Wokół panowała senna i błoga cisza, którą jednak od czasu do czasu przerywała przedziwnie piękna pieśń przyrody. Melancholijny szmer drzew, skrzeczenie żab, świergot świerszczy, wszystko razem tworzyło dziką, bezładną, lecz jakże cudowną muzykę. Czasami wiatr lekko powiał tworząc łagodne, różnodźwięczne akordy. Zdawało się też, że i ziema coś szeptała niewyraźnie. Daleko, gdzieś w dzielnicy ormiańskiej, modlily się niestrudzone dzwony, a dźwięki ich unosiły się życzliwie nad uśpionym „miastem niebieskich meczetów".

Z każdą chwilą rodziła się coraz to inna kaskada nieznanych melodyj. Czasami wszystko milkło, ginęło w mroku wschodniej nocy.

Spojrzałam na zegarek.

Upłynęło już 15 minut mej warty. Wskazówka posuwała się tak szybko jakby popychała ją niewidzialna, czarodziejska moc.



Po pracowicie spędzonym dniu smakuje kolacja. Lipiec 1944 roku.

Otwarłam szeroko oczy. Byłam przed ekranem wspomnień. Przed niektórymi zamykałam oczy i z zaciśniętymi zębami odwracałam się w tył, by uniknąć strasznych mar. Ach! To widma przeszłości, tej niedawnej, tak strasznej. Na dnie duszy mej załkały wszystkie struny boleści.

Spoglądnęłam na niebo.

Gwiazdy zalotnie mrugały, a księżyc odpowiadał im rozkosznym uśmiechem.

Wspomnienia wciąż snuły się długim nieprzerwanym korowodem. Lecz te już takie miłe — z lat dziecinnych.

...Na ulicy miasta panował nieopisany ruch.

Szłam ostrożnie, patrząc przed siebie.

„Tato, tatulu! Patrzcie, a no tam! Widzicie go?!" — zawołał za mną głośno jakiś mały chłopak. Z ciekawości i ja obejrzałam się. Po drugiej stronie ulicy szedł mały harcerz z olbrzymią wiązką chrustu, w dużym kapeluszu na głowie i z rozpromienioną twarzą. Suche gałęzie przykrywały niemal całą jego postać, lecz na piersi wyraźnie widać było krzyż harcerski.

Naciągnął bardziej kapelusz na oczy, poprawił wiązkę i szedł naprzód, wiodąc chyba że poważną rozmowę ze staruszką, którą wyręczył w niesieniu paliwa. Kobieta — uboga, zmizerowana, równie dreptała przy chłopaku zapominając na chwilę o swej biedzie. Chłopak strzelał oczyma na wszystkie strony, pozdrawiał przechodniów, którzy przyglądali mu się bardzo życzliwie.

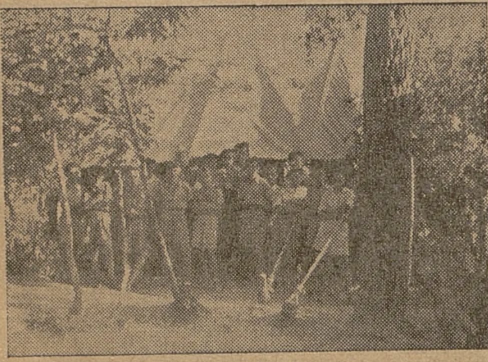
Podobało mi się to bardzo. „Ach, czekaj ty, bąku, i ja kiedyś będę harcerką" — pomyślałam mijając go.

Drgnęłam. W oddali rozległa się tęskna pieśń muzułmanina. Wspomnienie prysnęło jak bańka mydlana. Przebiegł mię dreszcz żalu i rozczarowania.

W pobliskich krzakach coś mocno zaszeleściło. Obejrzałam się. Ktoś biegł jak nieprzytomny!

Gałęzie trzaskały coraz głośniej.

— Co, co mam robić?! Czy gwizdać? — myślałam cofając się w tył. „Strach" — szalał... — Nie! Nie będę alarmowała obozu. Niech śpią! „Raz kozie śmierć". Poszłam naprzód. „Strach" upadł, a potem skoczył przez mur i zniknął w ciemności. Na kościele wydzwoniono dwunastą. Koniec mej warty. Przy zmianie dowiedziałam się, że wodzowie mają bieg. O „strachu" ani pisnęłam. Muzułmanin wciąż śpiewał pieśń pełną skargi, kołysząc do snu tajemnicze miasto Wschodu.



Obóz w Ispahanie — drużyna przed namiotami

„Czuwaj!" — zawołałam.

„Czuwaj, czuwaj!" — powtórzyło kilkakrotnie echo i rozpłynęło się w ciszy letniej nocy.

Wanda KOCIUBÓWNA, wędrowniczka

WSPOMNIENIA Z OBOZU

Dzień dobiega końca. Słońce jak gdyby zatrzymało się nad Kul-Sofe, by ostatnimi promieniami pożegnać miasto błękitnych kopuł, miasto dzieci polskich. Za chwilę mrok opanowuje ziemię i noc czarnymi skrzydły utula do snu całą okolicę.

Lecz dla nas ten dzień nie zgasł — myśmy rozpoczęli swe wieczorne życie. „Czarne" postacie idą do kręgu i niecierpliwie oczekują godz. 20. Godzina ta, na pozór nic nie dająca, jest dla nas, harcerzy, jedną z najmilszych chwil dnia. Liczne rozmowy, kłąb dymu, a potem deszcz iskier poprzedzają naszą tradycyjną pieśń „Płonie ognisko". Po niej następują inne — wesołe lub smętne, zależnie od nastroju, który raczej zawsze jest pogodny. Czarodziejskie słówko „wenewunaj" każe nam pilnie zwracać uwagę na batutę, którą z całą swą energią wymachuje „Kajtek".

Ogniska te są proste — nie chcemy się na nie specjalnie wysilać — a są tak miłe i tyle dają, bo są takie nasze. Kto się w nie nie wczuł i tego nie przeżył, nie potrafi zrozumieć ich czaru i ich piękna.

Pod koniec — jakaś poważna piosenka i plac zalega cisza. Wszyscy czekamy na gawędę.

Padają słowa proste, słowa, których słuchamy z zapartym oddechem. Postanawiamy nie tylko zachować je w pamięci, ale i wprowadzić w życie.

Słuchało by się tych słów nie wiadomo jak długo, ale już koniec. Krótka, gorąca modlitwa kończy ognisko i wszyscy udajemy się przed komendę, gdzie ma nastąpić opuszczenie sztandaru.

Księżyć ciekawie zagląda zza chmur. Zdaje się, chce zejść do nas do szeregów, by razem z nami przeżyć ten moment. Tysiące gwiazd usiało firmament. Gdieś w dali grają swą wieczorną symfonię świerszcze i słychać dzwonki karawany.

Komenda: „Baczność, cześć sztandarowi!" Wszystkie ręce są wyciągnięte w stronę sztandaru. Oczy poi pełen czaru jego widok. Sztandar majestatycznie spływa na dół. Szkoda, że to nie może trwać dłużej.

Ale za to jutro znowu będziemy obecni przy podniesieniu. Znowu będziemy patrzeć, jak wczesnym rankiem na tle niebieskiego sklepienia wsród zieleni drzew sztandar unosić się będzie w górę i w ciągu dnia oczy swe będziemy nasycać jego pięknem, jego jakąś dziwną mocą.



One się dzielą wrażeniami z obozu...

I to są dni obozowe, dni harcerskie, gdzie widzi się ciągle uśmiechnięte buzie, począwszy od najmłodszego zucha, a skończywszy na komendancie; gdzie wre praca, gdzie uczymy się, jak trzeba postępować, jak trzeba żyć!

Pytają się nas niektórzy: „Jak wam się nie znudziło na tym obozie?" Na pytanie to, zdawało by się, łatwo jest odpowiedzieć, a jednak trudno wytłumaczyć pytającym, czym był i w dalszym ciągu jest dla nas obóz.

Takie chwile, jak ogniska, podniesienie i opuszczenie sztandaru, pogadanki z dhem komendantem, no i ćwiczenia: zarówno nocne, jak też dzienne — są przecież dla nas czymś tak drogim i tak kochanym... My to najlepiej rozumiemy, bo myśmy się w to wczuli, myśmy to przeżyli. Tych prawie siedem tygodni — to cudowny sen, sen będący dziś natchnieniem życia i pracy.

Dzisiaj, choć już dawno po obozie, ciągle myślą na nim jesteśmy i nim żyjemy.

By przypomnieć te dobre czasy i podzielić się wrażeniami z innymi — siedzimy przy wspólnym ognisku, bo

„Z ognisk wieczornych wstaje nasza moc,
Co grzeje serca i ściera z nich pleśń,
I w dzień zamienia nawet ciemną noc —
Z ognisk harcerskich wstaje nasza pieśń."

J. J.

W TERENIE

„Jak dobrze nam zdobywać góry
I młodą piersią wchłaniać wiatr!"

Swobodnie rozległy się słowa piosenki wsród gór. Karnie szły zastępy jeden po drugim na obrane miejsce zbiórki. Po ogromnych głazach, wykrętach, krzewach, a co najgorsze — to po ostach przeskakiwały roześmiane druhny.

Droga stawała się coraz trudniejsza do przejścia. Strome skały sterczały milcząco, dumnie i wspaniale. Trzeba było zejść na dół — do wąwozu.

Jedne obrały sobie drogę dłuższą, lecz bezpieczniejszą, inne natomiast — pewne siebie i zawzięte — postanowiły przejść ową straszną, ziejącą trwogą kamienną ścianę.

Piosenka zwolna cichła, a echo jej jakoś tak bojaźliwie i cicho drgało w wąwozie.

Dokoła migały biało-czerwone chusty i granatowe berety. Mundurki zielone znikały wsród krzewów porastających góry. Wszystkie co do jednej na wyścigi przedzierały się na dół. Milczące, nieco już zmęczone ostrożnie mijały niebezpieczeństwa i zsuwały się sprytnie po niegościnnych głazach.

Echo piosenki konało.

Po kilkudziesięciu minutach na dany gwizd wszystkie rozpromienione stały na obranym miejscu. Po odpoczynku „huknęły" z całej piersi: „Nie masz to jak na wycieczce". Tym razem echo odpowiedziało głośno i jakoś radośnie.

Ktoś jęknął.

Zza krzewów wyszła zgarbiona staruszka. Jej przetarta, wypłowiała i podziurawiona odzież była dowodem skrajnej nędzy.

Sapiąc ze zmęczenia dźwigała dwa ogromne kawałki drzewa. Zgarbiona we dwoje przechodziła obok nas. Chustkę, a raczej same łaty nasuwała coraz bardziej na niewątpliwie wyschniętą i pomarszczoną twarz.

Kilka druhen na jej widok natychmiast skoczyło z pomocą. Biedna Arabka! Na to jakby czekała! Zatrzymała się, mając wciąż ręce przy twarzy. Po chwili zaczęła cicho chichotać. Jedna z ciekawszych zbliżyła się do niej i zajrzała prosto w oczy.

Ach! Cha, cha, cha! Aniela! Aniela!

Cała drużyna już stała obok 15-letniej „staruszki". Śmiech, wesołe okrzyki napełniały cały wąwóz. Po niejakimś czasie przepiękne szaty babci zawisły na krzakach, a ona — zmęczona, lecz szczęśliwa, głosno śpiewała ze swymi koleżankami.

Po dość długiej przerwie przystąpiono do gry. Drużyna podzieliła się na dwa obozy: białych i czerwonych. Ćwiczenie trwało godzinę.

„Brawo, brawo, biali!" Rozległy się głośne wołania. Nikogo wokół nie było. Zginęły gdzieś w zieleni.

„Biali! Biali!" — nie milkły okrzyki. „No, i czemu się cieszycie? Gdyby nie to, a tamto, no — to byśmy napewno wygrały!" — wołano z grupy czerwonych. Sędzia musiał uciekać.

Szara wieczorna mgła okrywała zwolna świat.

Powoli, gęsiego — ze śpiewem posuwałyśmy się w górę. W wąwozie nieustannie drgały echa piosenki i wesołych okrzyków. Odbijając się o głazy milkły, a inne z rozpaczą gnały za zielonymi mundurkami i roześmianymi buziami druhen.

Z kroniki 4 Drużyny Żeńskiej
im. Marii Curie Skłodowskiej



Ci też zdobywają teren ...

KU — SOFE

Minąwszy Marczeh-Klon, miasteczko położone niedaleko Ispahanu, widzimy na horyzoncie rysujące się pasmo gór, których szczyty są często pokryte śniegiem. To początki gór Zagras, sedziby Bachtiarów i Każgojów, dwóch wciąż ze sobą wojujących szczepów nomadów perskich.

Na tle tych gór wyraźnie rysuje się szczyt o wysokości około 2500 m n.p.m. Wygląda z daleka jak jakiś wygasły wulkan, u którego stóp jest położony Ispahan. To szczyt Ku-Sofe — „Góry Mądrości".

Na wiosnę 1945 r., gdy śniegi na Ku-Sofe stajały, wybraliśmy się z dhem hm. P. na wycieczkę, aby wejść na szczyt. Odległość z Diulfy, tj. od naszego zakładu, wynosiła około 10 km. Minąwszy cmentarz katolicki, na którym znajduje się grób posła Zygmunta III — Mirenowicza, rozpoczęliśmy wspinaczkę górską. Po kilkuset metrach mijamy dawny system obronny starego Ispahanu, składający się z kilkudziesięciu baszt, które stoją w odległości 200 m jedna od drugiej. Zbocza są teraz coraz bardziej strome, by na koniec przejść w skały. Około 2 km przed szczytem, w miejscu, gdzie trzeba użyć już pomocy rąk, znajduje się domek pustelnika.

Dziwny to pustelnik i dlatego chciałbym mu poświęcić kilka słów.

Ów pustelnik chodził po mieście w białej długiej macie z wspaniałą powichrzoną brodą i z wielkim kosturem pielgrzymim w ręku żebrząc najczęściej na ulicy. Gdy jednak weźmiemy pod uwagę drugą stronę jego życia, to postać jego zblednie. Miał bowiem w swym domku pod szczytem Ku-Sofe żonę i mnóstwo dzieci. Z domu swego robił czasami restauracyjkę, gdy znaleźli się jacyś turyści pragnący herbaty. Czasami wieczorem sprowadzał z góry zbłąkanych podróżnych czy turystów, którzy nie umieli zejść sami. Trudno dociec, dlaczego nazwano go pustelnikiem. Prawdopodobnie — dlatego, że służył jako model malarzom perskim, angielskim czy polskim, a nazwa pustelnika perskiego dodawała obrazowi większego czaru i uroku.

Idziemy jednak dalej. Z trudnem dostajemy się na pierwszy szczyt, przechodząc kilka razy nad przepaściami, które mają po kilkadziesiąt metrów głębokości. Szumią w nich teraz jeszcze strumienie górskie. W rozpadlinach i grotach leży szary śnieg. Niektóre groty, spotykane szczególnie po drugiej stronie, mają po kilkadziesiąt metrów przestrzeni.

Latem, gdy żar dopieka, zaganiają tam pasterze owce. Teraz jednak stoją puste. Roślinność góry jest uboga. Trochę już teraz nawet przeschniętej trawy i piękne malutkie kwiatki. Na pierwszym szczycie znajdują się ruiny zamku perskiego z XIV w. Jest to jeden z wielu symbolów dawnej potęgi perskiej, których w Ispahanie jest mnóstwo.

Sam szczyt — to głaz o powierzchni 4 m^2. Roztacza się z niego piękny widok na całą dolinę Ispahanu aż po pustynię leżącą po drugiej stronie miasta. Środkiem zielonej doliny płynie rzeka Zan-de-rud — „Rzeka Życia", która jest żywicielką całego Ispahanu, gdyż tam, gdzie dochodzą jej wody, jest panowanie jej i człowieka. Dalej wszędzie — pustynia. Nad jej brzegami znajdują się nawet małe lasy, a raczej laski. W dali widać meczety, ulice, minarety, domy. Dzieło człowieka, który potrafił ten olbrzymi szmat ziemi wydrzeć pustyni. N.

PIERWSZE OGNISKO W LIBANIE

Jak w życiu każdego człowieka, tak i w życiu narodu są chwile radosne i smutne. Jakże radosny był dzień 11 listopada 1918 r. Dzień odzyskania wolności i niepodległości naszej Ojczyzny. Dzień, w którym nasza Matka-Polska po przeszło stuletniej niewoli zrzuciła włożone Jej przez ciemiężców pęta i wstała, by żyć.

W dniu tym spełniły się sny i pragnienia naszych ojców i dziadów, którzy ginęli w walkach o odzyskanie tego wielkiego skarbu, jakim jest wolność. Rocznicę Święta Niepodległości obchodziliśmy w Kraju bardzo uroczyście, nic więc dziwnego, że i w tym roku — tu, w Libanie — postanowiliśmy uczcić pamięć wszystkich bohaterów i uczestników walk o wolność.

W wigilię święta odbyło się uroczyste ognisko harcerskie, na które prócz całej braci harcerskiej przybyli licznie zaproszeni goście.

Gdy ostatnie promienie słoneczne utonęły w morzu, wytrysnął w niebo słup ognia, a równocześnie popłynęły w dal słowa naszej starej pieśni „Płonie ognisko“. Potem hufcowa w krótkich słowach przypomniała nam istotę i znaczenie listopadowego święta. Następnie zaczęły się deklamacje okolicznościowych wierszy, przeplatane piosenkami legionowymi.

Przed oczami zebranych zaczęły się przesuwać obrazy przeszłości, a więc: walki tych szaleńców, jak nazywano żołnierzy Piłsudskiego, ich nadludzkie wysiłki, poświęcenia, trudy i męstwo. Wyczarowana pieśnią zjawiła się przed nami postać ukochanego Komendanta, który porwał do czynu zbrojnego cały Naród i mieczem swym wyrąbał granice naszego państwa.

Dlaczegoż, dlaczego tak niedługo cieszyliśmy się swą krwawo zdobytą wolnością?! W płomieniach pożarów, w huku bomb, walących w gruzy nasze miasta, w morzu krwi zamarła polska wolność. Nie mogąc walczyć w Kraju, żołnierz nasz uniósł swe sztandary za granicę i stamtąd — starym ojców naszych szlakiem — znowu przez krew idzie ku wolności.

Więc z potężnym szumem fal morskich łączył się śpiew „Karpackiej Brygady“, a stare pinie libańskie w ciszy słuchały wiersza „Spowiedź Ojczyźnie“ i innych oraz modlitwy harcerskiej „O, Panie Boże“.

Modlitwą za poległych bohaterów ognisko zakończono.

Każdy w uroczystym nastroju i w skupieniu wracał do domu z sercem przepełnionym miłością do tej kochanej, umęczonej Ojczyzny — z mocnym postanowieniem służenia Jej do końca życia.

M. L., sam.



Widać, że zuchy są zadowolone...



ŻEGLARSTWO — SZKOŁĄ CHARAKTERÓW

Czy wiecie, gdzie leży jezioro Wiktoria? — To duże, jak morze prawie, jezioro?

Na pewno: tak! Któż by o tym nie wiedział?! Ma ono niezliczoną ilość wysp, dużo zatok i wiele półwyspów. Na jednym z nich leży polskie osiedle Koja. W nim zaś pracuje dość liczna gromada zuchów, harcerek i harcerzy.

Nadeszły wakacje. Okres Bożego Narodzenia, a tu śniegu ani śladu. Słońce, schowane jeszcze głęboko za horyzontem, tylko blado-zaróżowionym wschodem dawało znać, że się niedługo ukaże. Nad jeziorem unosiła się lekka mgła przysłaniając sąsiednie półwyspy.

Na brzegu panował ruch. Harcerze z wodnej drużyny w białych mundurach i okrągłych czapkach na głowach ładowali sprzęt, żywność i ekwipunek osobisty do stojącej w pobliżu łodzi wiosłowej. Po pewnym czasie wszystko gotowe. Mogą odbijać.

Wybierają się na kurs żeglarski do Kazi. Daleka, ciężka i znana tylko z mapy czeka ich droga. Każdy siada na swoje miejsce. Janek jako sternik bierze rumpel do ręki. Pada komenda: „Gotowi — naprzód!" Wiosła jednostajnie zanurzają się w wodzie, równa tafla jeziora pokrywa się lekko falami od wioseł i płynącej już łodzi. Odpłynęli.

Nielicznie zebrani rodzice żegnali swoich chłopców. Łezka żalu zaszkliła się im w oku, uczucie niepewności wkradło s ę do serca.

— Aby tylko hipopotam ich nie wywrócił albo krokodyl nie porwał. Sami, a tak daleko muszą płynąć...

Łódź stawała się coraz mniejsza, ruchy wioseł z każdą chwilą mniej widoczne; w końcu zginęli za wystającym półwyspem. Żeglarska piosenka mówi: „Hej, my żeglarze, jak los rozkaże, płyniem bez tchu, to tam, to tu. Nas nie rozczula, gdy morze hula, bez morskiej burzy nie ma podróży. Życie to chwila, to los motyla, morska swawola — to nasza dola"...

Tak, dobrze chłopcy wiedzieli, że przed zerwaniem się wiatru, czyli przed godziną 10 muszą minąć wyspę Chlebową. Całą mocą swych mięśni ciągnęli wiosła. Razem, równo — byleby zdążyć.

Zdążyli! Fala złapała ich dopiero za wyspą. Nie była już groźna, ale i nie pomagała w płynięciu. Bryzgała często w twarz, utrudniała równe wiosłowanie.

Dali sobie radę. Po dziesięciu godzinach dopłynęli do Kazi. Uśmiechnięci i zadowoleni, chociaż i zmęczeni — wyszli na ląd.

Przez całą noc wożono jeszcze sprzęt, żywność i resztę kolegów. Niemało trzeba było namachać się wiosłami — ale w końcu wszystko było zrobione, każdy był zadowolony.

— Własnymi rękoma to wszystko przewieźliśmy — mówili chłopcy z dumą.

Codziennie białe, trójkątne żagle czterech żaglówek i sześć wioseł łodzi wiosłowej, uderzające z rozmachem o wodę — świadczyły, że 40 uczestników kursu żeglarskiego się szkoli, wchodzi coraz głębiej w tajniki wiedzy żeglarskiej. Zajęć było dużo. Wielu nowych rzeczy trzeba było się uczyć.

Niektórzy myślą: żeglarz musi umieć wiosłować, sterować, manewrować żaglami — i nic więcej. A to nieprawda! Żeglarz — to przede wszystkim człowiek o mocnym charakterze, taki który nie załamie się w żadnej burzy, nie ustąpi przed żadnymi przeciwnościami.

Generał Zaruski — kapitan szkolnego statku żaglowego „Zawisza Czarny", tak mówił do szkolącej się załogi:

„Musicie równocześnie być na dziobie i na rufie, na prawej i na lewej burcie, gdy jest to konieczne." — A statek miał 57 metrów długości.

I dalej: „Musicie widzieć, co się robi przed dziobem okrętu i za rufą, na prawym i na lewym trawersie. Czy wy potraficie patrzeć na wszystkie cztery strony świata równocześnie? Musi każdy z was — mówił siwy Generał — wybierać grot-żagiel, fok i bezan i w ogóle wszystkie inne żagle, gdy zajdzie tego potrzeba."

Na statku było 11 żagli, a wszystkie tak duże i ciężkie, że co najmniej dwóch silnych ludzi musiało wyciągać jeden. Ale jakoś się radziło. Ci, którzy nie potrafili, odchodzili do domu.

Pewnego razu na Bałtyku szalała od dwóch dni burza. Fale jak góry wodne raz po raz zalewały cały statek. Mocno trzeba było się trzymać, aby nie dać się zmyć z pokładu. „Zawisza Czarny" był już daleko od Gdyni. Szedł do Szwecji. Pracy było dużo, bardzo dużo. Wszyscy już byli tak zmęczeni z braku snu, od wpadającej na pokład fali i wichru tak silnego, że mówić nie pozwalał, iż z trudem trzymali się na nogach. A tu jeszcze następowały manewry statkiem. Jedne żagle trzeba było zwijać, inne stawiać; pełnić służbę „na oku" i przy sterze; wypompowywać wodę z dna statku i równocześnie chorować na chorobę morską, która nawet „starym wilkom morskim" dała się we znaki w ową ciężką burzę. Trzeba było wytrzymać... Burza przeszła. Morze pomału się uspakajało. Wiatr ustawał. Słońce ciepłymi promieniami otoczyło statek. Załoga porządkowała liny, żagle i inne części statku nadwerężone w czasie burzy, jak najszybciej dobywając ostatnich sił, aby szybciej zrobić i móc odpocząć chociaż troszkę.

Jednakże kapitan statku, chcąc wyszkolić jak najlepiej załogę i zrobić z niej ludzi twardych, zarządził zbiórkę, posadził załogę na pokładzie i miał wykład o prawie morskim. Gdy ktoś, nie mogąc już wytrzymać, pochylił głowę i zasnął — przerywał wykład i mówił: „Obudźcie go, bo jest niegrzecznie spać wtedy, gdy ktoś do niego mówi".

Wykład trwał 45 minut. Nie usnąć po dwóch nieprzespanych dobach i bardzo ciężkiej pracy było trudniej, niż wytrzymać najgorsze okresy burzy. Ale żeglarz musi umieć słuchać. Nawet wtedy, gdy jest to bardzo trudne, musi panować nad sobą.

Harcerze, którzy byli na kursie żeglarskim, dobrze o tym wiedzą, że aby być dobrym żeglarzem, trzeba umieć słuchać rozkazów nawet wtedy, gdy bardzo się nie chce; pomagać wszystkim ludziom pomocy potrzebującym nawet wtedy, gdy własne życie trzeba narazić; mieć bystry umysł, dobrą spostrzegawczość, umieć opanować gniew i niezadowolenie.

Tego nie można osiągnąć od razu. Przychodzi to dopiero po długim okresie pracy nad sobą, pracy codziennej i wytrwałej. Ci, którzy byli w Kazi, rozpoczęli już szkolenie się na wodzie. Inni mogą się przygotowywać do tego przez kontrolowanie siebie, swego stosunku do otoczenia, wyrabianie silnej woli. Mogą to robić dziewczęta i chłopcy, specjalnie starsi, rozumiejący już swoje zadania. Kto wytrzyma — to się okaże później.

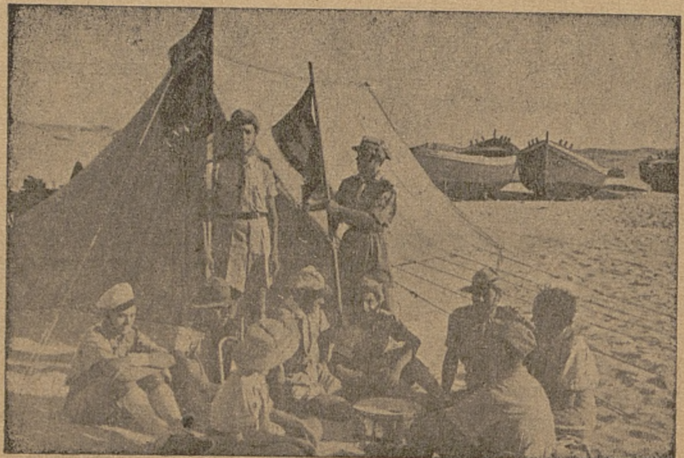
Polsce potrzeba mocnych ludzi. Ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, i potrafią to przeprowadzić. Nie wiadomo, jakie nas jeszcze koleje czekają, my musimy się przygotować do pracy ciężkiej. Wytrzymają tylko silni, słabi się załamią i odpadną.

Do jakich wy się chcecie zaliczać? Co robicie, ażeby być silnymi, pogodnymi i pełnymi zapału?

Musimy mieć szeroki dostęp do morza i silną flotę na nim. Nie wszyscy potrafią brać udział w wykonaniu tego i nie jest to łatwe do przeprowadzenia. Niedołęgi i skończone fajtłapy miejsca tam mieć nie mogą. Dla nich pracy nie będzie, bo tylko psuć by potrafili. Zrobią to ci, którzy idą śmiało i odważnie przez trudności życiowe i którzy pamiętają, że:...

I póki kropla jest w Bałtyku, polskim morzem będziesz ty, bo o twe fale szmaragdowe płynęła krew i nasze łzy.

Ignacy KOZIAŁ, hm.



Napiszcie, kiedy i gdzie to było?

„ZIELONY DZIEŃ" W OBOZIE

Dzień 13 sierpnia przekonał mię ostatecznie, iż jest coś fatalnego w trzynastce. Zaczęło się zaraz po północy, kiedy smacznie spałem snem sprawiedliwego instruktora pod opieką naszych wartowników. Przez sen poczułem jakieś bardzo delikatne muśnięcie po moich włosach. Natychmiast otworzyłem oczy, lecz cisza panowała niezmącona.

Nie dałem się jednak zmylić pozorom. Moja czujność, wyrobiona na wędrówkach i obozach harcerskich oraz w ostatniej sześcioletniej zaprawie wojennej, była wprost niezawodna. Sądziłem początkowo, że to kot. Dość często miewaliśmy nocne wizyty poczciwego kotka, który regularnie nas odwiedzał, aby się pożywić pozostawioną żywnością, a choć mięsożerny, w zasadzie nie gardził nawet biszkoptami czy czekoladą niebacznie pozostawioną na stole.

Postanowiłem działać szybko. Gwizdnąłem i równocześnie zaświeciłem swój aparat sygnalizacyjny. Lecz oczom moim przedstawił się zaiste dziwny widok. Zamiast spodziewanego kota — zobaczyłem trzy małe postacie w zielonych mundurkach. I zanim moje oczy przywykły do światła, postacie te zrobiły szybki zwrot w tył i dały „gazos", jak się tu mówi. Głuche bicie pięt po gruncie utwierdziło mię, że to nie sen. Zacząłem działać służbowo wzywając zastępowego i warty, a następnie zbudziłem Ignaca, kdta obozu. Lecz działo się coraz gorzej. Służbowy dawał jakąś mętną odpowiedź, że widział tajemniczą trójkę, ale oni szli po chusteczkę do namiotu (autentyczne).

Ignaś zaś nie przejmował się zabraniem mi spodni ani tym, że wszystkie dokumenty, wieczne pióro i ołówek, jak też i harcerski notes znikły z ową trójką. Nie mogłem długo zasnąć. Wnioskowałem jak sam Szerlok Holmes i ustaliłem, że napadu dokonała piąta drużyna. Po tym wysiłku znów zapadłem w nirwanę, lecz nie na długo.

Jakiś szum, jakby morskich bałwanów, zaczął uderzać coraz silnej o moje senne uszy. Nie wiem, skad idą, ale zaleją nas niechybnie. Już są blisko! Nagłe wezbranie huku przemieniło się w groźne ryki. Pobudka — gimnastyka! Wstawać! Bałwany zalały nasz namiot — ratunku! S. O. S.!

Zerwałem się ze snu. Myśli moje mknęły jak błyskawice, zdawało mi się przez moment, że jestem w szkole podchorążych; lecz to nie głos mego szefa, nie, to nie jeden szef, ale cała tłuszcza 120 szefów wlewa się do namiotu i ryczy, budzi, grozi, nawołuje, wydaje komendy a prześciga się w gorliwości. O co chodzi? Nie wiem! Jest godzina 5. Zwolna dopiero słowa wyławiane z grzmiącej nawalnicy: „Zielona pobudka", „zielony dzień" — zaczynają mi rozjaśniać mój wstrząśnięty umysł.

Na moje szczęście największy atak szedł na komendanta obozu — Ignaca. Tak jak o skałę rozbijały się najsilniejsze fale niosące najwyżej pieniącego się Edzinkę i Merdzia. Trzy razy tonący komendant wylewał na wzburzone bałwany oliwę swej wymowy i fale uspakajały się ustępując z namiotu. 120 szefów wychodziło na naradę — co robić? W ciągu tej jednej przerwy Ignaś, stary wyga, zdążył jeszcze wydać ostatnie polecenia dla instruktorów obozu. „Brać wszystko na wesoło, a robić swoje." I ściśle poufny rozkaz: „Przenieść przepustki, akta i pieczęcie w bezpieczne miejsce".

Z zamieszania skorzystał ks. kap. Kozłowski i nieznacznie się wymknął. Ja zerwałem się i wciągnąłem spodnie, aby być gotowym, bo fale wracały.

Za trzecim czy czwartym nawrotem padło groźne słowo „ultimatum". Teraz wypadki następowały szybko.

Nie pomogła ostatnia deska ratunku Ignaca, ża nie ma ubrania, że śpi pod kocem jak go Pan Bóg stworzył (był to podstęp — jak się później okazało). Zawinięty w koc jak niemowlę wyjechał Ignaś z namiotu niesiony na rękach, podrzucany triumfalnie z fali na falę, za nim zaś — łóżko. Tu dla ścisłości zaznaczam, że trudno opisać wszystkie szczegóły tego dnia. Będę się starał możliwie obiektywnie streścić resztę wypadków. Gimnastyka poranna dla komendanta nie udała się. Natomiast zacięty pojedynek językowy Ignac contra omnes (Ignac przeciwko wszystkim) pozostał nierozstrzygnięty.

O 7.15 został odczytany nowy rozkaz mianujący nową komendę na czas „zielonego dnia".

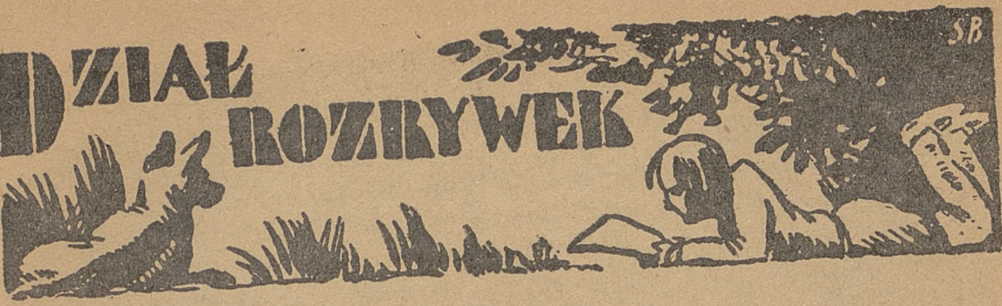
Na dodatek w tym dniu żegnaliśmy ks. kap. Kozłowskiego, który odjeżdżał do Indyj. To potęgowało i tak duże zamieszanie. Nie wiem, dla kogo ten fakt był pomyślny. Czy dla starej komendy, czy dla „zielonej". Wyjaśnienie i rozstrzygnięcie zostawiamy historykom harcerstwa na Środkowym Wschodzie. Na pożegnanie Kapelana Ignaś wydobył zapasowe ubranie i nawet dla dodania atutów swej poderwanej władzy zawiesił złoty sznur. Między 6 a 10 usiłowała nowa komenda przeprowadzić zajęcia, ale dopiero o 10 zeszło się kilkunastu druhów. Trzeba powiedzieć, że nawet i te zajęcia nie doszły do skutku, a to z powodu chamsinu i śpiączki, która opanowała resztki narodowych marynatów. Około godz. 11 po bezskutecznej walce ze śpiączką, po cichu wsunąłem się do swego namiotu. Dochodzący tutaj odgłos gawędy druha Klepackiego, szybko mię uśpił. Z tego też powodu nie widziałem, co się działo między 11 a 12.

Jednakowoż — wiadomości zaczerpnięte z drugiej i trzeciej ręki są tego rodzaju, że mogę spokojnie napisać dla potomnych. W tym czasie nic ważnego nie zaszło.

Obiad i cisza poobiednia odbyły się normalnie. Nuda i chamsin dobiły ostatecznie „zielony dzień". Ignac sygnalizował to już koło godziny 14. Gdy o 16. 45 szedłem do kancelarii obozu, spotkałem żelaznego i niezmordowanego sekretarza dha Piałuchę, a w chwilę później ukazał się dh Bielec po sprzęt sportowy do ćwiczeń popołudniowych. Były to już widoczne oznaki załamania się „zielonego dnia". Zwyciężyła harcerska recepta podana przez bohaterskiego tytana tej walki — Ignaca. Braliśmy wszystko na wesoło i robiliśmy swoje.

Na tym mógłbym zakończyć, gdyby nie pewne „ale". Nie wiem, jakie były koleje „portek" Ignaca (podobno zostały symbolicznie zawieszone na maszcie na znak zawieszenia starej władzy). O tym podam w następnym reportażu. Nie wiem, jak się uda „zielone ognisko", które podobno na rozkaz „zielonego komendanta" mam dzisiaj prowadzić.

„Siekierka"



TROCHĘ LOGIKI

I. Jedno z następujących zdań *musi być* zgodne z prawdą.

1) Wszystkie sztuki Shakespeare'a zostały napisane przez Bacona.

2) Niektóre sztuki Shakespeare'a (więc nie wszystkie) zostały napisane przez Bacona.

3) Niektóre sztuki Shakespeare'a nie zostały napisane przez Bacona.

Które dwa zdania z tych trzech *mogą być* jednocześnie prawdziwe, ale *nie mogą być* jednocześnie fałszywe?

Które dwa zdania *mogą być* jednocześnie fałszywe, ale *muszą być* jednocześnie prawdziwe?

Mimo że nie wiemy, które zdanie jest zgodne z prawdą, na pytania te jednak możemy z łatwością odpowiedzieć.

II. W pewnym mieście w Anglii jest niewielki plac w kształcie czworoboku. Na każdym jego boku jest jeden dom (a więc razem cztery). Zamieszkują te domy panowie: White, Brown, Black i Pink, a zawód ich: prawnik, lekarz, rzeźbiarz i aktor. (Oczywiście, nie wiemy, kto jaki ma zawód). Wiemy, natomiast, o nich takie szczegóły.

1) Mieszkaniec północnej strony placu nie wie nic o prawie.
2) Lekarz mieszka naprzeciw p. Pinka, a aktor naprzeciw p. Blacka.
3) Mieszkaniec zachodniej strony placu nigdy nie stawał do egzaminu.
4) P. Pink, który nigdy nie był w teatrze, często grywa z prawnikiem w szachy.
5) P. Brown mieszka na prawo od aktora.

Narysuj plan tego placu i umieść na nim domy jego mieszkańców wraz z ich nazwiskiem i zawodem.

III. Dziesięć papierków — z liczbami od 1 do 10 (po jednej liczbie na każdym) — włożono do kapeluszy 5 osób (po dwa papierki do każdego kapelusza). Kiedy papierki te wyciągnięto z kapeluszy, suma liczb, które były na dwu papierkach — w pierwszym kapeluszu wynosiła: 16, w drugim — 11, w trzecim — 4, w czwartym 17 i w piątym — 7. Jakie to były liczby?

Marek KOSTKA, h. o.

Odpowiedzi należy nadsyłać do 31 stycznia 1947 roku.

Listę osób, nagrodzonych za rozwiązanie zadań z numeru 6-7 SKAUTA, ogłosimy w następnym numerze.



Pójdziemy.... poprzez ziemię brytyjską — a jutro nie wiadomo poprzez jaki szlak — do Polski prawdziwej, której żadne serce polskie nie wyobraża sobie bez LWOWA i WILNA. Z drogi tej, która jest naszą drogą historyczną, nie zejdziemy.

Z rozkazu Dowódcy 2 Korpusu

TREŚĆ

Komendant ZHP na Wschodzie - Gawęda — Persja — Z „Bustanu" — Polacy w Iranie w latach 1942-1946 — O starcu, idącym do Mekki— Ze wspomnień irańskich — Teherańska przygoda — Gdy nieszczęść fala... — Persepolis — Sziraz — Dziesiąta Drużyna zwiedza Ispahan— Ze wspomnień harcerki — Wspomnienia z obozu — W terenie — Pierwsze ognisko w Libanie — Ku-Sofe — Żeglarstwo-szkołą charakterów — „Zielony dzień" w obozie — Dział rozrywek

REDAGUJE KOMITET W SKŁADZIE: hm. Józef Brzeziński, hm. Maria Horbaczewska, hm. Helena Sadowska, hm. Zdzisław Peszkowski, hm. Józef Żuromski. Redaktor: dz. h. Stanisław Panek.

WYDAWCA: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO na WSCHODZIE
ADRES: Polish Forces Middle East 75
Zasięg: AFRYKA — INDIE — NOWA ZELANDIA — EGIPT — PALESTYNA — LIBAN — ITALIA — AUSTRIA

Numer złożyli składacze arabscy:

افيديس بغضصريان فرنسيس سلامه

Drukarnia oo. franciszkanów w Jerozolimie. Dyrektor o. Franciszek

C Z U W A J !

Idź! Czuwaj! Do czynu ciągłego,
Młodzieńcze, wyciągaj ramiona!
Ojczyzna sprawności twej wzywa.
Do ciebie ma prawo li ona.

Idź! Czuwaj! I zawsze miej wiarę,
Cokolwiek by losy zrządziły:
Jest Polska i będzie do końca,
Jeśli jej starczy twej siły!

Idź! Czuwaj! Kochając swe serce
Prawdy w nim buduj świątynię
Żyć warto, jeśli twe życie
Ofiarnie dla Polski płynie.

Idź! Czuwaj! Otwarte miej oczy,
Byś dostrzegł w sam czas, z jakiej strony
I jaki się wróg ku nam skrada,
Chęcią niszczenia wiedziony.

Idź! Czuwaj! Bądź czujny! Codziennie
Ucho przykładaj do ziemi,
Byś słyszał jej szept najmniejszy,
Gdzie pójść masz z ramiony swojemi.

Idź! Czuwaj! Patrz! Słuchaj, byś wiedział,
Nim z swoją rozminiesz się dobą,
Gdzie pójść masz z sercem i duszą,
Z tym wszystkim, co tylko jest tobą!

Jan Kasprowicz




A POLISH CITY
WILNO
STRONGHOLD OF POLISH AND EUROPEAN CULTURE